Nr. 1. Kraków-Podgórze. Czerwiec 1910 r. Rok I.

Na dochód
DRUGIEJ KOLONII
SZKÓŁ ŚREDNICH
Krakowa i Podgórza
nakładem Wydziału „Towarzystwa kolonii wakacyjnych dla uczniów gimnazyów i szkół realnych“
w Parku Dra Jordana na festynie 5 czerwca 1910 r. wydana

CHWILA AKTUALNA

(Wydanie popołudniowe)

Pod redakcyą
ANTONIEGO LEKSZYCKIEGO.

Współpracownictwo przyjęli:
WYBITNI LITERACI, PUBLICYŚCI I DZIENNIKARZE.
„Chwilę aktualną“ nabywać można w dyrekcyach gimnazyów i szkół realnych w Krakowie i Podgórzu, u członków Wydziału „Towarzystwa kolonii wakacyjnych“ i w administracyi „Czasu“.
Cena 1 kor.

Kraków, w czerwcu.

Mnożą się w szybkiem tempie zastępy młodzieży naszych szkół średnich; na ulicach miasta roi się od mundurków szkolnych; czerstwość i siła biją od młodych postaci — a przecież nie brak takich, u których pod pozorem zdrowia kryje się zaród ciężkiej choroby w młodym organizmie, pod obcisłym mundurkiem tai się nieraz... ciężka niedola. W tych szeregach, kipiących często nadmiarem bujnej młodości, choroba i śmierć zbierają żniwo obfitsze, niżby z pozoru sądzić można. Gruźlica, wróg chytry i podstępny, czyha na młode płuca, spełnia wytrwale nieubłagane dzieło zniszczenia i niejedną ofiarę na progu życia porywa. Giną często najlepsi, najsumienniejsi, całym zapałem młodości rwący się do słońca wiedzy, nauki, do ideałów prawdy i piękna... a niestety już w zaraniu życia zmuszeni borykać się z nędzą...

Większa część uczniów szkół średnich w Krakowie i Podgórzu rekrutuje się z najuboższych rodzin rzemieślników, drobnych sklepikarzy, robotników fabrycznych, najniższych funkcyonaryuszów biurowych, stróżów, dziennych wyrobników i t. p. Wobec rozpętania się lichwy mieszkaniowej w naszem mieście, robotnik czy niższy urzędnik musi „gnieździć się“ w jednej lub dwu ubikacyach, możliwie najtańszych, ale też pozbawionych wszelkich warunków hygieny. To też uboga młodzież naszych szkół średnich spędza poza szkołą cały rok w ciasnych, wilgotnych i dusznych norach zaułków przedmiejskich, gdzie zazwyczaj traci zdrowie moralne i fizyczne.

Dopóki trwa nauka, to student taki bodaj przez pół dnia znajduje się w szkole, która dlań wobec mieszkania wydaje się czemś niezwykle wygodnem. Ale gdy rok szkolny się skończy, uboga młodzież mimo nadwątlonego stanu zdrowia skazana na przepędzenie upalnej pory letniej w mieście, ucieka z domu, błąka się bezmyślnie po ulicach i spędza czas biernie i bezużytecznie. Dobrze, jeśli nad tą częścią młodzieży ma kto czuwać; jeśli zaś nie — jak to wśród uczniów, pochodzących z rodzin proletaryatu miejskiego, najczęściej się zdarza, z powodu zatrudnienia rodziców poza domem — to młodzież ta niszczeje moralnie wśród mętów wielkomiejskich, a okres wakacyjny przynosi jej nieraz większe znużenie, niż całoroczna praca.

Powyższe motywy skłoniły w roku 1904 grono profesorów szkół średnich do utworzenia kolonii wakacyjnych dla uczniów gimnazyów i szkół realnych Krakowa i Podgórza. Celem tej akcyi społecznej: wywiezienie ubogiej młodzieży miejskiej na dwa miesiące z zabójczej atmosfery nędzy i zaułków, zbliżenie jej do przyrody, lepsze odżywienie, oraz odpowiednia nad nią intelektualna praca. I odtąd do kolonii w Porębie Wielkiej pod Rabką spieszy corocznie na letnie wywczasy 40 do 50 uczniów, krzepiąc wśród górskiego powietrza wycieńczone całoroczną pracą organizmy, spędzając czas na rozrywkach, zabawach, i wycieczkach, lekturze z zakładowej biblioteczki, zbieraniu okazów przyrodniczych i t. p. Wątli i słabi, zagrożeni niejednokrotnie ciężkiemi chorobami, powracają ze znacznie polepszonem zdrowiem, pełni wdzięczności dla osób, które nie żałują grosza na utrzymanie kolonii.

Obecnie znowu nadszedł czas, gdy zgłaszają się setki tych uczniów nieszczęśliwych, smutnych, bladych, z piętnem przedwczesnego cierpienia na twarzy, których wysłanie na wakacye na wieś jest niezbędnem dla ich zdrowia. Ratujmy tę młodzież! Niech społeczeństwo zastąpi ich najbliższych, którzy z rozpaczą w sercu obowiązku swego spełnić nie mogą.

Celem zasilenia funduszów Towarzystwa, które w tym roku wysyła na dwumiesięczny okres wakacyjny największą dotychczas liczbę 54 kolonistów, a równocześnie — ponieważ kolonia w Porębie Wielkiej więcej chłopców nie pomieści — przystępuje do utworzenia drugiej kolonii, wydaje Wydział *Chwilę aktualną* o następującej treści:

Prof. **Dr. Kaz. Morawski**: *W roku obchodu*, prof. **Stanisław hr. Tarnowski**: *Wspomnienie Andrzeja Potockiego*, redaktor *Przeglądu lekarskiego* prof. **Dr. Stanisław Ciechanowski**: *Czy wyrodniejemy?*, redaktor *Poradnika językowego* dyrektor **Roman Zawiliński**: *Rodzice wychowani przez dzieci.*

Część krotochwilna: prof. **Józef Wiśniowski**: *Pieśń o „Wielkim“ Krakowie*, **Dr. Klem. Bąkowski**: *Ballada plantacyjna*, **Boy**: *Modlitwa estety*, **Edm. Zechenter**: *Kronika*, prof. **Dr. Franciszek Bylicki**: *O niesłychanym rozwoju muzyki u nas*, **Dr. Klem. Bąkowski**: *Sprawy sądowe*, **Dr. St. Stępiński**: *Nadesłane*, **E. Zechenter**: *Ostatnie wiadomości.*

FEJLETON:

Władysław St. Reymont: *Z Martyrologii Unickiej.*
Włodzimierz Tetmayer: *O rzepie, wiejska przypowieść.*
Adam Grzymała Siedlecki: *Co jest teatrem w teatrze.*
Witold Noskowski: *List z Krakowa.*

DRUKARNIA „CZASU“ W KRAKOWIE.







W ROKU OBCHODU.

Mówi się w tym roku dużo o obchodach. I niewątpliwie są one dla każdego narodu konieczne, bo nie sposób nurzać się tylko w teraźniejszości szarzyźnie, nie wystarcza snuć zamiary i marzenia na przyszłość, lecz od czasu do czasu trzeba odetchnąć i skąpać się przeszłości powietrzem i w obcowaniu z dawnymi wiekami i ludźmi szukać podniety, skrzepienia, nauki. Ale żeby obchody miały owocne dla narodu znaczenie, muszą one mieć i spełnić pewne warunki.

Obchód rzuca kwiaty pod stopy przeszłości, lecz powinien także nieść światło i naukę dla żyjących. Niebezpieczeństwem zaś jest, jeżeli się zbytnią wagę doń przywiązuje, jeżeli mu się daje pozory dzieła i pracy narodowej, jeżeli mu się pozwala pochłaniać energie, które przecież do czegoś lepszego są przeznaczone. Jest on formą zewnętrzną, ceremonią i może niekiedy objawiać i hodować zarazem patryotyzm zewnętrzny, wypustkowy i kokardowy, który jest prawdziwej miłości ojczyzny słabym odblaskiem, a bywa jej skrzywieniem. Takie ceremonie nie wystarczają; o nich myślał Ten, który powiedział: niechaj umarli grzebią swoich umarłych. A my przecież żyć chcemy i żywymi jesteśmy. Aby więc nie umarli grzebali umarłych, obchód nie powinien być tylko świętem zewnętrznem, lecz uroczystością ducha, w której czasu stanie na wspominanie dni wielkich, rozważanie ich świetności i tych wszystkich przyczyn, które ją potem zaćmiły, na podniesienie serca i duszy do majestatu dziejów i niemniejszego majestatu zadań i zobowiązań, które przeszłość i przyszłość nakłada. Każde wspomnienie powinno przecież być bierzmowaniem ramienia i duszy, ślubem pracy i siły i dobrej woli utwierdzeniem. Inaczej będzie to dymem i dym ten minie bez śladu.

A szczerość wobec siebie i szczerość wobec prawdy jest innym warunkiem owocnego obchodu. Więc jeżeli wspominamy Grunwald, to dojdą nas z pól zachodu śpiewy Boga Rodzica, szczęk broni i odgłosy tryumfu, ale dojdzie także żal, wyrzut i upomnienie od tych, których bolesnych twarzy nie poznaliby ojcowie, gdyby z grobu wstali, upomnienie, że posiewy chwały nie zeszły, że zobowiązania nie zostały dotrzymane, że niegdyś zwalczeni gniotą nas swoją polityczną i ekonomiczną przewagą. W ciężkiej więc chwili ta rocznica powraca. Asnyk śpiewał ku uczczeniu r. 63:

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy.
W rocznicę chwały ojców człowiek niemy,

a wiersz ten daje tylko polski wyraz Dantejskiej myśli o tem, co włoski wieszcz nazwał największą człowieka boleścią.

A więc od objawów tryumfu, do którego zaiste niema powodów, od jaskrawych przechwałek, któreby chyba bolesnemi były, ochroni naród dnia tego i swoją godność. A przypominać w chwilach tych smutek i niebezpieczeństwa, przypominać rzeczywistość,

to nie tchórzostwo zaiste. Zarzut ten tchórzostwa w tym przypadku biorę w całej pełni na siebie; bo troskać się i strachać o dolę swych współbraci to nasz święty obowiązek, a ważnem chyba przykazanie solidarności w nieszkodzeniu sobie wzajemnie. Przeciwieństwem zaś tchórzostwa jest męstwo, dla którego jest miejsce w czynie, pracy, wyznawstwie, ale zaprawdę nie przy obchodach.

Niechby więc dzień ten wielki dawnej chwały zeszedł nad nami ze swym majestatem, dał nam hart ręki i postanowień, podniosłość duszy i serca rozgrzanie, ofiarność mienia i poświęceń, tchnął w nas męstwo życia i męstwo nadziei, ale niechby też wstał ze swoją grozą, z żalem gryzącym rozbudził serdeczną miłość, przypomniał, co czynić należy i podniecił otuchę na dalszą drogę; a wtedy obcowanie z wielkimi zmarłymi, z których krwi i kości jesteśmy, zejdzie błogosławieństwem na prace i koleje przyszłości.

Kazimierz Morawski.

Wspomnienie Andrzeja Potockiego.

Dwa lata od śmierci Andrzeja Potockiego. Budzą się na nowo i z większą niż co dnia siłą, wrażenia i obrazy tego dnia okropnego: wieść padająca jak piorun z jasnego nieba, osłupienie, żal wybuchający otwarcie, pokusa nienawiści gwałtem trzymana na wodzy, żeby nie owładła całą duszą; pogrzeb, a wzdłuż całej jego drogi tłumy ludzi, składające świadectwo swego żalu i czci: a nad tem wszystkiem dopiero to co nie jest wspomnieniem, obrazem przeszłości, ale teraźniejszością. Zmierzenie straty, obliczenie jej skutków, troska o przyszłość. Jaki jest stan tego kraju, i co z tego dzisiejszego stanu wyniknie jutro czy pojutrze? To pytanie ciąży nam na sercu jak głaz jakiś wielki, a zwalić go z piersi nie możemy. Życie zawsze idzie swoim torem, a cokolwiekby się stało, ktokolwiekby ubył, ono stanąć nie może i funkcye swoje odbywa, niby zawsze takie same, niby normalne. I tu na pozór choć jest nieszczęście, to zmiany niema. Wszystko zostało na swojem miejscu; ten co umarł pogrzebany, jego morderca skazany na śmierć, — ułaskawiony na dwadzieścia lat więzienia — wyjdzie z niego człowiekiem czterdziestoletnim — sprawa skończona!

Ale tak nie jest. To tylko jeden jej akt skończył się tragiczną śmiercią jednego człowieka, zbrodnią drugiego: dalszy wątek ciągnie się mniej lub więcej widzialny, mniej lub więcej gotowy, ale groźny i straszny. Po jednej stronie (z wyjątkiem biskupów) żadnego słowa, żadnego znaku żalu, wyrzutu sumienia, żadnego wyparcia się mordercy; nienawiść utwierdzona w pewności siebie, ośmielona, coraz dalej sięgająca w pożądliwości i żądaniach: po stronie drugiej coraz większa potrzeba cierpliwości, mocy nad sobą, roztropności.

Na tle takich uczuć ponurych rysuje się jasna postać Andrzeja Potockiego. Smutna, ale jasna. Śmierć była tragiczna: postać jest, i zostanie w pamięci ludzkiej, w historyi, jako jasna, bo oświecona tem wewnętrznem światłem co bije z duszy człowieka, a jego zamiary i uczynki otacza aureolą wzniosłych uczuć, dobrej woli, rzetelnie czystej prostej dobrej woli.

Mąż stanu znakomity, wypróbowany w swoim zawodzie, a nie zacofany bynajmniej, Amerykanin, były prezydent wielkiej zjednoczonej Rzeczypospolitej, Roosevelt określał niedawno człowieka publicznego, jako tego, który ma »działać szlachetnie, ale i działać skutecznie. Najpraktyczniejszym z polityków jest ten, który jest czystym, uczciwym, sprawiedliwym. Ale to samo nie wystarczy. On musi sam stać wiernie i twardo przy swoim ideale, a musi wiedzieć i pamiętać, że większość ludzi, z którymi ma do czynienia i walczenia, ma ideał niższy. Pierwszy warunek obywatela uczestniczącego w życiu publicznem, jest szczera wola służenia rzeczy publicznej: a drugim jest działanie praktyczne w walce z ludźmi i stosunkami, nie takimi jakichby pragnął, ale takimi jakie są«.

Słowa te przypadają dobrze do Andrzeja Potockiego. Szczera wola służenia, wysoki ideał moralny i patryotyczny, wierność niezłomna swoim zasadom: a przytem zdolność

działania skutecznego, zdolność zyskania i wywierania wpływu na wolę tych ludzi, z którymi i przez których miał działać.

Kiedyś, jak wyjdą z ukrycia, (jeżeli wyjdą),wszystkie szczegóły jego urzędowego zawodu, jeżeli się pokaże, z jakiemi przeciwnościami miał do walczenia, jak z niemi walczył, jakimi środkami i w jakiej mierze je przezwyciężał, wtedy da się złożyć i jego żywot, i jego wierny wizerunek jako człowieka politycznego. Dziś to niewiadome. On swoich urzędowych tajemnic opowiadać nie mógł, a zwierzać się z natury nie lubił. My więc znamy go tylko ogólnie: znamy podstawne rysy charakteru, kontury postaci, ale wypełnić ich i wycieniować nie możemy. Jednak widoczne są zasadnicze rysy, główne przymioty człowieka i męża stanu. Istotna wyższość rozumu, zdolności, roztropność w postępowaniu, te oczywiście być w nim musiały: one sprawiały, że go żądano postawić na wysokiem stanowisku, one i to, że na tem stanowisku umiał do swojej woli skłaniać wolę swoich zwierzchników, i swoich współobywateli. Jak to robił? jak do tego celu dochodził? Na to pytanie, bez dokładnej znajomości jego przejść odpowiedzieć trudno: łatwiej dostrzedz i stwierdzić, czego w tem swojem położeniu i zadaniu nie robił, czego się wystrzegał.

Otóż, naprzód, on swojej woli nigdy nie narzucał. Różny w tem od wielu nawet znakomitych mężów stanu, nie był absolutnym. Miał swoją wolę, i silną, i stałą, i objawiał ją śmiało: ale nigdy twardo, nigdy despotycznie. Dla człowieka, mającego działać i rządzić w społeczeństwie polskiem, z jego usposobieniami, przymiot niezmiernie ważny. Bez niego dochodzi się do konieczności złamania przeciwnej opinii i woli, a gdy jej złamać nie można, trzeba samemu albo upokorzyć się i ustąpić, albo odejść. On nie próbował nigdy łamać, starał się opinię czy wolę drugich skłonić, nagiąć ku swojej. Z przełożonymi, ze zwierzchnikami, był nieraz więcej stanowczy, i nie unikał słowa *aut aut.* Ale z nami, ze swymi podwładnymi, współobywatelami, żadnej sprawy czy kwestyi nie stawiał na ostrzu noża. Tym sposobem, czy tą regułą postępowania, działał na umysły, a na wolę ludzi przez nie, pośrednio, tak, że mogli często nie spostrzedz się, że mu ulegają.

Dalej, aż pojąć trudno, że człowiek uczuć gorących, przekonań silnych, a woli stanowczej, mógł być tak beznamiętnym jak on. W jego życiu politycznem namiętności niema pod żadną jakąbądź formą. Ani żądzy władzy, ani niechęci do przeciwnika, ani uniesienia i gniewu, ani uporu w przywiązaniu do swojej myśli i zdania: ani wybuchu, namiętności w słowach. Dar bardzo rzadki, bardzo szczęśliwy: wrodzony może, ale prędzej, prawdopodobniej, wyrobiony wolą, skutek roztropności i wstrzemięźliwości, tych cnót nie darmo kardynalnemi zwanych, a kardynalnych zwłaszcza w życiu publicznem, dla ludzi politycznie działających.

Stanowczości ten brak namiętności nie szkodził, nie zmniejszał jej. Stanowczość występowała wobec przełożonych, zwierzchników, i częściej i wyraźniej, niż względem swoich. Ale dawała mu powagę, znaczenie, wpływ tem większy, tem trwalszy, że była złączona z roztropnością, i ze sprawiedliwością. On kiedy żądał, albo kiedy żądaniom odmawiał, to zawsze na podstawie rzetelnej prawdy, rzetelnej potrzeby, istotnego stanu rzeczy. Taki zwierzchnik to wiedział, i opierać się nie mógł.

Jego powagę i wpływ w rządzie przypisywano często jego osobistemu stanowisku. Miał z urodzenia takie jak miał, innego nie potrzebował. Prawda. Takie jak jego położenie w świecie wiele ułatwia, bo pozwala niczego nie pragnąć, i na nic i nikogo się oglądać. Ale do zupełnej powagi nie dość jest nic nie potrzebować: należy jeszcze nic nie chcieć. Chcieć zrobić to, co się za dobre uważa: ale nie chcieć czemś być, czemś zostać. Macaulay mówi, że ludy instynktem odgadują w ludziach publicznych brak myśli o sobie, żądania czegokolwiek dla siebie: tem tłomaczy ufność i powagę, jakie otaczały Chathama i Pitta. Ale rządy mają ten instynkt tak samo jak ludy, może jeszcze ostrzejszy: czują przez skórę, czy kto czegoś chce, a wiedzą, że kto chce czemś zostać, tego można i dostać. Warunki i ceny są różne, ale psychologiczny fakt jest stały, i sprawia, że zupełną ufność i zupełną powagę

mają u rządów tylko ci, którzy dla siebie nic nie chcą. Andrzej Potocki nie chciał czy być namiestnikiem czy nim zostawać: to był jeden z sekretów jego siły i — jak sądzimy — jeden z jego sposobów działania.

Jego wartość jako człowieka politycznego dawała się poznać coraz wyraźniej w jego działaniu, w jego rządzeniu: można powiedzieć, że rosła nam w oczach z każdą trudną sprawą, z każdem nowym zawikłaniem: a zawsze połączenie tych dwóch warunków, działania moralnego, i działania skutecznego. W naszem położeniu jedno jak drugie jest koniecznym warunkiem działania prawdziwie patryotycznego. Patryotyzm bez roztropności, bez zmysłu rzeczywistości, może, choć szlachetny, być szkodliwym: zmysł praktyczny bez zmysłu moralnego, bez tego wysokiego ideału, o którym mówi Roosevelt, będzie patryotyzmem nieszczerym, nierzetelnym, udanym. Andrzej Potocki przez połączenie obu staje w liczbie naszych znakomitych mężów stanu, i przechodzi do historyi polskiej jako postać zdolnością rzadka, szlachetnością wzniosła, tragiczna śmiercią.

On jeden z naszych historycznych ludzi padł z ręki skrytobójcy; zdradliwy zamach się udał. Ale przyszłość dopiero pokaże, komu bardziej wyszedł na złe. W sprawach między ofiarą a zbrodnią, zbrodnia tryumfuje czasem i cieszy się swoim sukcesem, ale się mści sama na sobie: ostateczne, trwałe zwycięztwo odnosi ofiara. Andrzej Potocki mówił w zaufaniu do osoby krwią sobie blizkiej, że »życie jest na to, żeby je stracić«. Stracił je, ale je dobrze zapełnił: a stracił za to, dla tego, że je dobrze zapełniał. Stracił odważnie jak rycerz, i cnotliwie jak rycerz z wojen krzyżowych, lub z naszych wojen tatarskich i tureckich. W całej żałości też, jest w takiej wzniosłej śmierci ulga, a w takiem życiu otucha. Kiedyś, lat temu sześćdziesiąt i więcej, pisał stary Kajetan Koźmian do Zygmunta Krasińskiego, że »nie umarła matka co takich synów wydaje«. Te słowa dają się zastosować do Andrzeja Potockiego. On przez swoją wartość i naturę jako człowiek, przez swoją zdolność i dzielność jako człowiek czynu, jest dowodem żywotności i siły. Ziemia wysilona, wyjałowiona, nie wydaje takich plonów.

Jest więc w nieszczęściu i stracie jednak jakaś pociecha; jest w takiem życiu i w takiej śmierci może zadośćuczynienie za niejedno współczesne złe. Ale jest i wzór, przykład. Śmierć bohaterska, męczeńska, nie może być przykładem dla wszystkich: ale śmierć odważna, pobożna, ta jest nauką dla nas wszystkich, skoro wszyscy umieramy. W życiu zaś Andrzeja Potockiego jest dla obywatela, dla Polaka, nauk i przykładów bardzo wiele. Nauka uczucia obowiązku, i pełnienia obowiązku. Nauka pracy i ścisłości w pracy. Nauka roztropności i łączenia wysokiego ideału ze skutecznością działania. Nauka posiadania siebie, mocy nad sobą: trzymania na wodzy swoich uczuć, swoich oburzeń choćby najsłuszniejszych, jeżeli ich wybuch czy wyraz mógłby przynieść szkodę. Nie samo zaś oburzenie, gniew, gorzkie uczucie poniesionej krzywdy, ale i miłość sama, najwyższa, najszlachetniejsza, powinna objawiać się i wyrażać się roztropnie, z dokładnem rozważeniem i chwili i sposobu. Jeżeli wyraz najświętszego z uczuć naszemu sercu czyni zadość, ale pomódz może interesowi nieprzyjaciela, to hamować ten wyraz. Uczy dalej ten żywot, że nie dość jest kochać bardzo, ale trzeba kochać mądrze: a uczy także, że kochać bardzo, to znaczy kochać (jak mówi Szujski) »bez siebie — nad siebie«. Bez siebie i nad siebie, czyli jak kazał Skarga »nie kurczyć ojczyzny«. »Nie kurczcie ojczyzny w domach waszych, w pojedynkowych pożytkach waszych« nie kurczcie jej w partyach waszych, w doktrynach waszych, w niechęciach i zawiściach waszych. Andrzej Potocki nie kurczył ojczyzny: i w tem jest dla nas wszystkich wielkim przykładem, jakiekolwiek są nasze opinie czy widoki, namiętności czy cele. »Zdrowie narodu jest w mężów postawie« — mówi znowu Szujski. Tak jest: gdzie liczba znaczna ludzi o sercu wzniosłem, sumieniu prostem, honorze czystym, i o tej prawdziwej dobrej woli co nie zna celów ubocznych i własnych, tam naród jest zdrowy i silny. Takim mężem był Andrzej Potocki; dla tego jego postawa, jego żywot, powinnny być przykładem, wzorem nie do patrzenia tylko, ale do świadomego postanowionego naśladowania; dla tego jego pamięć

powinna zostać i żyć między nami przez wieki.
»Pamięcią dzielnych w ojczyźnie ludzi.
Dźwiga się naród, krzepi się duch«.

St. Tarnowski.

Czy wyrodniejemy?

Do wiary w przyszłość naszego społeczeństwa przyczynia się poczucie zasobu siły moralnej i intelektualnej narodu, poczucie młodzieńczej jeszcze rzeźwości, wspólnej całemu szczepowi słowiańskiemu. Kto jednakże na dnie złożonego problematu rozwoju i upadku, doskonalenia się i karlenia narodów, plemion i ras, dojrzał także zagadnienia społeczno - hygieniczne, dotyczące wartości fizycznej materyału ludzkiego, ten nie bez niepokoju zapytać musi, jak nasze społeczeństwo wyposażone jest fizycznie? lepiej, czy gorzej od innych? czy i pod tym względem rozwija się, czy też trzyma się w jednej mierze, czy też może — wyrodnieje?

Przytaczanym często, znanym powszechnie przykładem zwyrodnienia jest Francya. Ta Francya, której ludność jeszcze z początkiem XVIII w. stanowiła dwie piąte części ludności Europy, a jeszcze po okresie rewolucyi i morderczych wojen napoleońskich jedną piątą, — w r. 1880 była ojczyzną już tylko dla siódmej części Europejczyków. Uczeni francuscy obliczali już wtedy, że w r. 1932 stanowić będą Francuzi już tylko 11% mieszkańców Europy. Te czarne przewidywania rzeczywistość w przerażający sposób przewyższyła, bo ludność Francyi spadła już w r. 1900 poniżej na r. 1932 przewidywanej cyfry i stanowiła w Europie już tylko 9·7%. Ludność Francyi przyrasta znacznie wolniej, niż ludność innych krajów: Francya wyludnia się. Lekarze francuscy dostrzegają równocześnie przyrost częstości chorób umysłowych i wyraźne znamiona fizycznego cofania się ludności, a wojna francusko - pruska dostarczyła niejednego dowodu zwątlenia i skarlenia ludu francuskiego.

Badania tych zjawisk, niepokojących socyologów i polityków francuskich, spotkały się z badaniami Anglików i Niemców, wychodzących z ogólno-przyrodniczego punktu widzenia i próbujących do ras i plemion ludzkich przystosować teoryę doboru naturalnego. W ostatnich latach kilkunastu powstała odrębna gałąź nauki, nazwana przez Niemców „hygieną ras“, stojąca na pograniczu socyologii, medycyny i — również młodej jeszcze — hygieny społecznej. Powstały osobne czasopisma, poświęcone tym zagadnieniom, jak Woltmanna *Politisch- anthropologische Revue*, Ploetza *Archiv für Rassen- und Gesellschaftsbiologie*, i zawiązały się wreszcie osobne towarzystwa naukowe, jak w marcu r. b. *Deutsche Gesellschaft für Rassenhygiene*, w Berlinie, którego pierwsze posiedzenie otwarły wykłady założyciela, Dra Ploetza, znakomitego hygienisty prof. Grubera z Monachium i wybitnego patologa prof. Ribberta z Bonn.

Zagadnienie o zwyrodnieniu narodów, plemion i ras ujęto na Zachodzie bardzo szeroko, rozciągając je na całość tego, co nazywamy społeczeństwem cywilizowanem, a czem do niedawna w oczach naszych była tylko rasa indoeuropejska i poruszając także sprawę zwyrodnienia moralnego i intelektualnego. Ale zwyrodnienie moralne i intelektualne społeczeństw jest rzeczą tak niezmiernie zawikłaną, o kryteryach tak subtelnych i względnych, a rozpatrywano je tak po dyletancku, kierując się raczej podmiotowemi wrażeniami, niż jakimi takimi dowodami, że wciągnięcie tej strony sprawy więcej szkody, niż pożytku przyniosło. To też ci socyologowie, politycy, ekonomiści, lekarze i higieniści, którzy dziś starają się sprawę zwyrodnienia społeczeństw zbadać, ograniczają się do skromniejszego, ale pewniejszego zakresu, do samego tylko zwyrodnienia fizycznego; do tego też ograniczy się i nasz artykuł.

I.

Jakież są objawy zwyrodnienia narodów i plemion? Co wiemy o przyczynach tego zjawiska? Jak o niem można rokować? Czy to jest choroba, której można zapobiedz, która się może wyleczyć, czy też jest to naturalne starzenie się, zgrzybiałość społeczeństwa, wiodące, jak w życiu jednostki, do nieuchronnego końca, do śmierci? A jeżeli to tylko choroba, co przeciw niej czynić? Wszystkich tych pytań, przeważnie bardzo skomplikowanych, wkraczających w dziedzinę medycyny, hygieny, socyologii, statystyki, a nawet polityki, ustawodawstwa i administracyi, posiadających dziś wielotomową specyalną literaturę, w artykule dziennikarskim dotknąć można zaledwo bardzo pobieżnie i powierzchownie.

Jako główne objawy zwyrodnienia fizycznego rasy wymieniane bywają pospolicie: zmniejszanie się naturalnego przyrostu ludności, a przedewszystkiem spadek liczby urodzin, wzrastanie niezdolności do służby wojskowej, niezdolność kobiet do karmienia niemowląt, częstość zboczeń i wątłości ustroju wśród dzieci.

Dane statystyczne o ruchu ludności są dziś bardzo obfite i obejmują okresy czasu dostate-

cznie długie, aby można czynić porównania. Na zasadzie tych właśnie danych stwierdzono, że wyludnianie się Francyi, nie tracącej ludności ani przez nadmierną śmiertelność, ani przez gromadną emigracyę, polega na stopniowem zmniejszaniu się liczby urodzin. Na tysiąc ludności przypadało rocznie we Francyi z początkiem XIX w. 33 urodzin, w połowie XIX w. 26, z końcem 21. Ale właśnie w tym punkcie, gdzie nauka rozporządza danemi najobfitszemi, najwięcej też nasuwa się wątpliwości. Zmniejszanie się liczby urodzin okazuje się skutkiem wielorakich i złożonych przyczyn; wpływa tu cały szereg czynników ekonomicznych, obyczajowych i t. p.; stwierdzono, że liczba urodzin spada w ostatnich dziesiątkach lat nie tylko we Francyi, ale w całym świecie cywilizowanym, choć zjawisko to nie wystąpiło nigdzie tak wcześnie i tak silnie. Toteż socyologowie podkreślają, że niema dotąd dostatecznych dowodów, aby wśród przyczyn, obniżających liczbę urodzin we Francyi, znajdowały się także przyczyny biologiczne, zależne od zwyrodnienia rasy. Niemniej zasługuje na uwagę, że zjawisku zmniejszania się liczby urodzin towarzyszy we Francyi inne jeszcze zjawisko: oto rodzi się tam stosunkowo coraz mniej chłopców. To samo zaś, uważając za objaw dekadencyi rodziny, stwierdzono co do wygasłych dziś rodzin szlachty szwedzkiej.

Mniej obfitych, ale wyraźniejszych danych dostarcza statystyka popisowych. Wśród popisowych we Francyi było w r. 1865 niezdolnych do służby wojskowej 6 proc.; w dziesięcioleciach następnych wzrasta ta liczba do 12 i 16 proc., a po roku 1890 dochodzi do 23 proc.! O zdolności do służby wojskowej rozstrzyga to, czy popisowy ma należyty wzrost, czy jest dostatecznie silnie zbudowany, i czy nie cierpi na jakieś choroby. Otóż liczba popisowych, niedochodzących przepisanego wzrostu, ma się we Francyi zwiększać, a przeciętny wzrost rekruta francuskiego spadać. O nie tak wybitnym, ale przecież zaznaczającym się upadku zdolności do służby wojskowej w innych krajach zachodniej Europy ma świadczyć, zdaniem niektórych, to, że skalę wymagań przy poborze wojskowym musiano stopniowo obniżać.

Wzrastająca częstość sztucznego karmienia niemowląt (w Berlinie w r. 1885 — 33 pr., a w r. 1900 już 54 pr.) ma swą przyczynę przeważnie w warunkach społecznych klasy robotniczej (praca kobiet w przemyśle fabrycznym), jednakże niemniej liczyć się należy z faktem, że n. p. w Monachium stwierdzono niezdolność do karmienia piersią u przeszło dziesiątej części matek ze sfer robotniczych, a spostrzeżenia takie mnożą się w miarę postępu badań w tym kierunku.

Wreszcie badania stanu zdrowia dzieci szkolnych, podjęte w wielu krajach na szeroką skalę, wykryły, że odsetek słabowitych lub różnemi zboczeniami i chorobami dotkniętych jest ogromny; wśród chłopców n. p. w krajach skandynawskich znaleziono takich część czwartą, a nawet trzecią, wśród dziewcząt nawet ponad połowę.

Zebrany dotąd materyał nie wystarcza wprawdzie, aby stanowczo rozstrzygnąć, czy całemu społeczeństwu europejskiemu zagraża istotnie zwyrodnienie fizyczne, wskazuje jednak, że w niektórych narodach zachodnio-europejskich istnieją oznaki, dla narodów tych niekorzystne.

*

Wśród przyczyn zwyradniających wymieniają uczeni w pierwszym rzędzie szkodliwy wpływ życia w miastach. Dowody, że szkodliwe wpływy miast mogą działać zwyradniająco pod względem fizycznym na ludność, że mogą wywoływać te właśnie objawy, które powyżej wymieniliśmy, zebrano w ilości dostatecznej. Gdyby miasta nie odświeżały się i nie wzbogacały liczebnie ludnością napływową, przenoszącą się do nich ze wsi, to, o ileby w nich nie poprawiono warunków hygienicznych, musiałyby się wyludnić; przyrost ich własnej ludności osiadłej jest o wiele słabszy, niż po wsiach. Zdolnych do wojska dostarcza wieś znacznie więcej, niż miasta. Wzrost dzieci robotniczych z miast jest znacznie słabszy, niż ich wiejskich rówieśników, wszelkie wady i choroby wśród nich znacznie częstsze. Tak np. na Śląsku pruskim dotkniętych było krótkowidztwem czterykroć więcej dzieci szkolnych miejskich, niż wiejskich.

Choroby, które się osiedlają w ustrojach z natury wątłych, a w pierwszym rzędzie gruźlica, są w miastach znacznie pospolitsze i więcej zabierają ofiar, niż w reszcie kraju. Wszystko to jest wynikiem braku powietrza i światła, gęstego skupienia mieszkańców w przeludnionych, a złych mieszkaniach, zawodów przemysłowych, niedostatecznego żywienia się uboższej ludności miejskiej.

Właśnie zaś wiek XIX, wiek przemysłu, odznaczył się tem, że w całym świecie cywilizowanym stosunek zaludnienia przesunął się i przesuwa dalej potwornie na korzyść miast, które wchłaniają masy ludu, napływającego ze wsi, a wszczepiając weń zarody zwyrodnienia fizycznego, coraz więcej ciążyć zaczynają na bilansie fizycznym ludności całych krajów i narodów.

W dalszym rzędzie wśród przyczyn zwyradniających idzie alkoholizm; rzecz ta dziś jest tak powszechnie znana, że możemy ją tu po-

minąć, mimochodem tylko wskazując, że we Francyi, użytej jako przykład zagrażającego zwyrodnienia, klęska alkoholizmu wzrasta niepomiernie. Na głowę i rok przypadało tam w trzecim dziesiątku XIX. w. przeciętnie półtrzecia litra, w ósmym pięć, obecnie dziewięć!

Niewątpliwe znaczenie przypisać trzeba wreszcie szeregowi rozpowszechnionych w świecie cywilizowanym przewlekłych chorób zakaźnych, a z nich w pierwszym rzędzie gruźlicy. Ludzie nią dotknięci przekazują swemu potomstwu wątłość ustroju i wrażliwość na wpływy szkodliwe; jest zaś gruźlica chorobą tak pospolitą, że wśród niezdolnych do pracy, pobierających rentę robotników niemieckich, połowa jest do pracy niezdolną z powodu gruźlicy.

II.

Jakże jest u nas?

Materyału, mogącego dać wskazówki co do objawów zwyrodnienia fizycznego ludności, mamy wogóle mało; jest to przytem materyał surowy, który dopiero należy krytycznie opracować. Dane, jakiemi rozporządzamy, odnoszą się przeważnie do Galicyi.

Liczba urodzin w całej Galicyi w stosunku do liczby ludności trzymała się w ostatniem dwudziestopięcioleciu w. XIX na jednym prawie, wysokim poziomie, około $43^0/_{00}$. Z początkiem wieku bieżącego była w niektórych latach nieco niższa; wszelako mogło to być zjawisko chwilowe, wywołane wpływem czynników natury ekonomicznej (klęski elementarne w r. $190^3/_4$) itp. Przed uzyskaniem dat z dłuższego okresu czasu nie wolno stąd wysnuwać żadnych wniosków.

We wschodnich, ruskich powiatach Galicyi jest liczba urodzin według zestawień Krajowej Rady Zdrowia stale znacznie wyższa, dochodząc do $54^0/_{00}$, niż w zachodnich, polskich, gdzie spada tu i ówdzie do $34^0/_{00}$; w powiatach polskich jest jednak niższa śmiertelność.

O budowie fizycznej ludności polskiej było u nas przed kilku laty nawet w prasie codziennej dość głośno; z ogłoszonych wówczas badań antropometrycznych, zwłaszcza z pomiarów t. zw. wskaźnika piersiowego ludności Królestwa Polskiego wysnuto wniosek, że przewyższamy inne narody doskonałą budową fizyczną. Aby jednak twierdzić to napewno, należałoby przedewszystkiem ustalić właściwy nam średni typ antropologiczny na podstawie pomiarów, dokonanych na wielką skalę, a przez pomiary w znaczniejszych odstępach lat przekonać się, czy się budowa fizyczna naszej ludności z biegiem czasu nie pogarsza. Takich zaś pomiarów, pozwalających na porównania, nie mamy. Istnieje wprawdzie materyał statystyczny, odnoszący się do popisowych, ale dotyczy on tylko Galicyi i obejmuje zbyt krótki okres czasu, by uważać go za dostateczną podstawę do jakichś wniosków o poprawianiu się lub pogarszaniu naszego fizycznego typu w ciągu lat. W każdym jednak razie, przynajmniej co do ludności galicyjskiej, nie potwierdza on legendy o wyjątkowo dobrej budowie fizycznej ludu polskiego.

Mniejsza o to, że niezdolnych do wojska z powodu zbyt niskiego wzrostu jest ze wszystkich narodów, zamieszkujących Austryę, najwięcej wśród Polaków, mianowicie dwakroć więcej na tysiąc, niż Czechów, Niemców, Rumunów i Węgrów, czterykroć więcej, niż Serbo-Chorwatów, a cokolwiek więcej. niż Rusinów. Mniejsza i o to, że wogóle co do „przeciętnego“ wzrostu również Polacy na ostatniem stoją miejscu. Uderzająco niski wzrost rekrutów galicyjskich stwierdzano bowiem zawsze, począwszy od pierwszych czasów okupacyi austryackiej i jest on zapewne jedną z cech stałych, charakteryzujących ludność naszą pod względem fizycznym. Ale ważniejsza, że od szeregu lat największą liczbą niezdolnych do wojska wogóle odznaczała się obok Rumunów ludność galicyjska, a ze ścisłych pomiarów antropometrycznych, dokonywanych przy rekrutacyi w ósmem dziesięcioleciu XIX wieku okazało się, że co do budowy ciała zajmują popisowi polscy wśród narodowości, zamieszkujących Austryę, miejsce przedostatnie, ustępując tu nawet Rusinom, a pozostawiając za sobą tylko Rumunów, mających stosunkowo najwęższe klatki piersiowe w całej Austryi. Jeszcze zaś więcej daje do myślenia, że na tysiąc popisowych, niezdolnych do wojska z powodu zboczeń i chorób, było wśród innych narodowości niezdolnych z powodu gruźlicy 2 do 5, wśród Polaków *jedenastu*, a z powodu skrofulozy wśród innych narodowości najwyżej około połowy tego, co wśród Polaków.

Skąpe dotychczasowe dane nie dostarczają wprawdzie odpowiedzi na pytanie, czy istnieją *objawy* postępującego zwyrodnienia fizycznego naszej ludności, wszelako, budząc niepewność co do naszej fizycznej wartości w porównaniu z innymi narodami, wzywają do dokładnego krytycznego zbadania materyału, jakim dziś rozporządzamy i do usilnego gromadzenia dalszych materyałów do tej sprawy. Okazuje się to konieczne również z rozważenia, czy i w jakim stopniu istnieją u nas *czynniki*, któreby zwyrodnienie fizyczne ludności wywołać mogły.

Z czynników tych alkoholizm mógłby może mniej wchodzić u nas w rachubę, niż na zachodzie; konsumcya alkoholu jest u nas stosukowo mniejsza, niż w Anglii, Francyi lub Niemczech,

jak to m. i. przed laty kilku wykazywał prof. K. Klecki. Ale zważyć należy, że alkohol trafia znów u nas na grunt mniej odporny wskutek niedostatecznego odżywiania się naszej ludności. Światło na żywienie się naszego ludu rzuciły co do ludności polskiej w Galicyi badania prof. Napoleona Cybulskiego, co do ludności ruskiej — prof. Horbaczewskiego, co do ludności Królestwa Polskiego — p. Peltyna i innych. Mamy tych badań jeszcze za mało, brak nam rozleglejszych badań nad odżywianiem się robotnika miejskiego, ale i to, co jest, wystarcza, by stwierdzić, że drugi z czynników zwyradniających, niedożywianie się ludu, istnieje u nas i działa może silniej, niż na zachodzie.

Z chorób, mogących wpływać na zwyrodnienie, wystarczy wymienić gruźlicę, której częstość u nas wyraźnie wzrasta. Na 10.000 żyjących zmierało z gruźlicy w Galicyi około r. 1878 rocznie 31, około r. 1905 — 37 osób. Następujących kilka liczb najlepiej pozwoli porównać nasze stosunki ze stosunkami Europy zachodniej, a zarazem objaśni, jak u nas zaznacza się szkodliwy wpływ życia miejskiego. Oto liczby śmiertelności:

Cała Anglia	11·4	Cała Holandya	13·7
Londyn	14·7	Amsterdam	14·6
Całe Niemcy	22	Cała Galicya	**37·6**
Berlin	23	Przemyśl*)	40·7
		Stryj*)	51·9
		Lwów*)	**55·3**
		Kraków*)	**65·7**

Z innych chorób zwyradniających, oprócz endemii lokalnych, wyniszczających n. p. Huculszczyznę, zasługiwałaby na zbadanie na całym obszarze ziem polskich n. p. zimnica (malarya), obecnie wprawdzie niewątpliwie rzadsza, niż dawniej, dzięki postępom asanacyi kraju, osuszaniu błot i regulacyi rzek, niemniej jednak u nas jeszcze nie wytępiona; w większości krajów Europy zachodniej należy ona do osobliwości. Niestety brak nam na tem polu zupełnie badań statystyczno-lekarskich na szerszą skalę.

Kto wie, czy dokładne badania, których dotąd zupełnie brak, nie wykryłyby na naszą niekorzyść w porównaniu z wielu narodami zachodnimi działania jeszcze jednego czynnika — w emigracyi. Ta, w bilansie społecznym niestety długo niedoceniana pozycya, ma jeszcze do dziś dnia wiele stron niewyjaśnionych, wśród nich — społeczno-hygieniczną. A jednak emigracya na stałe, wyciągając z kraju najlepszy fizycznie materyał ludzki, pozostawia nam, jako zadatek przyszłych pokoleń, materyał pośledniejszy. Sezonowi zaś emigranci, o ile chodzi o emigracyę do Prus, wracają wyczerpani wytężoną pracą, do jakiej nie przywykli, a przy której są — jak to ze źródeł niepodejrzanych, bo z badań pruskich lekarzy urzędowych wynika — żywieni i pomieszczani najczęściej nie lepiej, niż u siebie w domu. Ta więc emigracya sezonowa zwraca nam po części materyał gorszy, niż zabrała.

Socyologowi możeby to, co o natężeniu czynników fizycznie zwyradniających u nas wiemy, bez poparcia lasem cyfr statystycznych i matematycznie ścisłym dowodem powstałych już szkodliwych skutków — nie wystarczyło; lekarzowi i hygieniście poważnie daje do myślenia. A zły byłby to lekarz, któryby, dostrzegając choćby tylko możność zachorowania, zwlekał z ostrzeżeniem, aż choroba istotnie się przyplącze i nie starał się jej zapobiedz.

Czy jej zapobiedz można? Jeżeliby zwyrodnienie fizyczne było naturalnem niejako starzeniem się społeczeństw, to ani jeden jego objaw nie mógłby się cofnąć. Jeżeli zaś stwierdzono cofanie się któregokolwiek z objawów fizycznego zwyrodnienia jakiegoś narodu, plemienia, czy rasy, to trzeba je uznać za chorobę wyleczalną, i taką, której można uniknąć.

Otóż nauka posiada już spostrzeżenia, przemawiające za tem, że objawy tej choroby społeczeństw mogą się zmniejszać. Jeden przykład. W Holandyi stwierdzono stopniowy spadek długości ciała w pierwszej połowie XIX w.; w drugiej połowie stają się Holendrzy stopniowo coraz roślejsi. W ogłoszonej przed paru tygodniami w tym przedmiocie rozprawie podnosi Bolk, że pierwsza połowa XIX w. była w Holandyi okresem zastoju gospodarczego i politycznego, druga — okresem rozwoju na wszystkich polach.

Przypuszczenie, że zwyrodnienie fizyczne społeczeństw polega na naturalnem ich starzeniu się, jest błędem, wynikłym, jak tyle innych, z nieuzasadnionego przyjmowania ściślejszej analogii między organizmem jednostki, a organizmem społecznym.

III.

Ze środków zaradczych — pomijając spekulacye o przyszłym racyonalnym doborze na zasadach przyrodniczych, — część jest identyczna ze środkami, wskazywanymi przez politykę ekonomiczną, i ta część — środki pośrednie — w dwóch przynajmniej zaborach jest dla nas przeważnie

*) Obliczyłem na r. 1909 według danych centr. komisyi statyst. Doliczanie przez centr. Komisyę statyst. w statystyce śmiertelności naszych miast także zmierających w tych miastach „obcych“ jest uzasadnione naprzód tem, że ci „obcy“, to są przeważnie mieszkańcy gmin podmiejskich, stanowiących sanitarnie z miastami jeden organizm, choć nie stanowiących go administracyjnie, a powtóre tem, że takich „obcych“ dolicza centr. Komisya statyst. w statystyce śmiertelności nie tylko naszych miast, ale i innych miast w Austryi.

niedosiężna. Ale pozostaje część druga, bardzo rozległa, mająca na oku bezpośrednio podniesienie ogólnego zdrowia i fizycznej wartości społeczeństw. Tu ze względu na obecne dorosłe pokolenie ojców i matek wchodzi w rachubę usuwanie tych wszystkich wpływów, które mogą się szkodliwie odbić na potomstwie. A więc środkami zaradczymi będą tu: jak najszerzej pojęta asanacya, zwłaszcza miast, zwalczanie zwyradniających chorób, w pierwszym rzędzie gruźlicy, walka z alkoholizmem, ulepszenie sposobu żywienia się ludności, wreszcie opieka nad okresem macierzyństwa. Ze względu zaś na młode pokolenia wymienićby należało znaczną część tych urządzeń, które obejmuje się dziś nazwą „opieki nad dziećmi i młodzieżą“, obok całego szeregu innych jeszcze, w tem pojęciu nie mieszczących się sposobów. A więc w wieku niemowlęcym: t. zw. „biura porady dla matek“, wszelkiego rodzaju „żłobki“, zwłaszcza fabryczne, a gdzie nie można się obejść bez sztucznego karmienia, „krople mleka“ i „kuchnie mleczne“; w wieku przedszkolnym wszelkie ochronki, schroniska, ogródki dziecięce i t. zw. „półkolonie“, t. j. wyprowadzanie lub wywożenie dziatwy pod specyalną opieką na cały dzień za miasto, lub do ogrodów i parków; w wieku szkolnym: wszystkie mnogie środki wychowania fizycznego, parki Jordanowskie, uczelnie, ale połączone z zabawami ruchowemi, korpusy wakacyjne i kolonie wakacyjne, dalej odżywianie dzieci („kuchnie szkolne“, „obiady dla głodnych dzieci“) i t. p., a w końcu szkolną opiekę lekarską, sięgającą aż tak daleko, że nawet kończąc już szkoły, mają wychowankowie opierać się na wskazówkach lekarzy przy wyborze zawodu.

Kto choć pobieżnie śledzi pracę społeczną u nas, ten już z tego (niekompletnego zresztą) wyliczenia dostrzeże, że bardzo znaczną część tych środków zapobiegawczych i zaradczych co do młodego pokolenia już się u nas stosuje. Co do różnorodności środków niewiele pozostajemy w tyle za Europą zachodnią, co do ich obmyślenia i wprowadzenia w życie zdołaliśmy ją nawet niekiedy wyprzedzać. Ale niestety nie brak i odwrotnej strony: ilościowo robimy stosunkowo zamało.

W dzienniku, poświęconym koloniom wakacyjnym dla szkół średnich, przykładem tego niech będą kolonie, które zresztą, choć są tylko jednym z wielu środków działania, zajmują jednak wśród nich miejsce bardzo poczesne. Według bowiem badań Schmid-Monnarda, dozwalają one „kolonistom“ w ciągu paru tygodni wyrównać różnice fizyczne, dzielące ich na początku feryi od ich wiejskich rówieśników, a czyniące ich wtedy na pozór o rok od nich młodszymi.

Otóż zliczywszy około 3.000 dzieci warszawskich, które corocznie wysyła tamtejsze Towarzystwo kolonii, powstałe dzięki Dr Stanisławowi Markiewiczowi jeszcze w r. 1881 (wcześniej niż gdziekolwiek w Polsce i niż w wielu krajach europejskich), z kolonistami, wysyłanymi przez Łódź, Kalisz, Płock i t. d. oraz z okrągłym tysiącem dzieci, korzystającym z 10 kolonii galicyjskich, widzimy, że w całej Polsce jeden „kolonista“ przypada na jakieś 5.000 ludności, w Galicyi samej zaledwo 1 na 10.000. Tymczasem na zjeździe międzynarodowym w sprawie kolonii wakacyjnych, odbytym w Bordeaux w r. 1907, okazało się, że w Anglii, Francyi i Niemczech wyjeżdża na kolonie wakacyjne w stosunku do ogółu ludności pięćkroć więcej dziatwy szkolnej niż u nas.

O dziatwie starszej, o młodzieży dorastającej, myślano u nas dotąd mało. A przecież wiek dojrzewania, to okres, w którym ustrój staje się na wpływy szkodliwe szczególniej wrażliwy. Prawdziwie też wielkim krokiem naprzód było stworzenie pierwszej u nas kolonii dla młodzieży szkół średnich z inicyatywy prof. A. Lekszyckiego; za nią poszła kolonia dla seminarzystek, utworzona przez „Polski Związek niewiast katolickich“; urządzono też w Warszawie w r. 1907 kolonię dla chłopców od lat 10 do 14, ale o innym typie, płatną. O dalszym rozwoju tej sprawy nie słychać. A przecież chodzi tu o tę część młodzieży, która poświęcając się pracy umysłowej, ma stanowić kiedyś czoło społeczeństwa!

Dlaczego w tym i w podobnych zakresach działa się u nas stosunkowo tak mało? Niezasobność społeczeństwa nie tłómaczy tu wszystkiego, skoro na innych polach działania stać nas na kilkakroć większe wysiłki. Ale niestety tam, gdzie chodzi o sprawy zdrowia i dzielności fizycznej, nie umiemy się dotąd wyzwolić z błędnego mniemania, że to tylko — filantropia, że to dzieło miłosierdzia, ofiarowane na rzecz jakiejś drobnej gromadki wyjątków, jakichś nielicznych wątłych wyrośli na zdrowym i potężnym pniu społeczeństwa. Trzeba jednak mieć odwagę spojrzeć w oczy rzeczywistości, bo może nie bezpodstawną jest obawa, że tu kwiat narodu więdnąć może i schnąć główne konary. A w takim razie nie wystarczą na ratunek naszej nędzy fizycznej kruszyny, które współczucie rzuca ze stołu bogacza; zagadnienie staje się jedną z pozycyi trzeźwego obrachunku w bilansie społecznym, i to pozycyą nienajmniejszą, bo, jak podnosi prof. Milewski: „materyał ludzki liczny i zdrowy, to podstawa operacyjna narodowej pracy“.

Stanisław Ciechanowski.

Rodzice, wychowani przez dzieci.

Nonsens, albo paradoks.

Tak się zda na pierwszy rzut oka; przekonamy się, że to jest oczywista prawda; trzeba jednak wejrzyć w życie rodzinne i zbadać pobudki czynów, a nadewszystko zrozumieć, że wychowywać to nie znaczy odziać i dać pożywienie, ale otoczyć wpływem moralnym i temu wpływowi nadać moc zwycięską.

Małżeństwo nazywa się pospolicie rodziną, żonę Westalką domowego ogniska. Ale kiedy się zapala to ognisko? Kiedy staje przy niem jak Westalka żona i spełnia ze świadomością obowiązki kapłanki w tej świątyni?

Kiedy się stała matką.

*

Dziecko zachorowało — matka i ojciec spędzają na czuwaniu bezsenne nocy. Czemże są wszystkie łzy, czem te nieprzespane nocy, czem długie chwile niepewności i wstrzymywanego trwogą serca bicia, wobec uśmiechu chorej dzieciny, wobec błysku jasnego oka, niosącego promyk nadziei. Groza minęła, dzień każdy, niemal godzina każda daje polepszenie zdrowia pieszczocha, a i rodzicom coraz lepiej ze sobą w domu. Mamusia odwykła od częstych wizyt i zwiedzania modnych wystaw, zapomniała o krawcowej, oddana cała swojemu skarbowi; tatuś nie opuszcza wieczorami domu, przez czuwanie nad łóżeczkiem syna odwykł od namiętnego palenia papierosów; czyta gazetę, a nawet za zgodą żony rozpoczęto wspólną wieczorną lekturę nowego poematu. Oto pierwszy wpływ dziecka.

*

Malec, stawiający już dość pewne kroki, poczyna naśladować wszystko i wszystkich. Kiedy matka klęka do pacierza, on klęka obok niej z powagą, składa rączki i wpatrując się w matkę, zgaduje jej modlitwę. Jednego wieczora nie wystarczyło mu towarzystwo matki: klęknął, ale wnet się obejrzał i powtarzając „Tatuś tyz!“ zmusił ojca do klęknięcia obok. Ojciec nie był niedowiarkiem, ale dawno odwykł od pacierza; mały tyran sprawił, że odtąd codziennie razem z nim musiał głośno odmawiać, a raczej powtarzać słowa modlitwy Pańskiej. Przyzwyczajenie stało się powoli drugą naturą ojca.

*

Przy obiedzie rozżaliło się małe stworzenie i poczęło teroryzować obecnych. Pokojowa, chcąc je uspokoić, ujęła kapryśnicę pod pachy i miała zamiar wynieść ją do drugiego pokoju, aby się uspokoiła. Nagle z tych ustek rumianych wypadło słowo „Idź bestya!“, a słowom towarzyszyło dość silne uderzenie piąstki w stół. Rodzice osłupieli. Spoglądając na siebie w przerażeniu przypomnieli sobie, że przed kilku tygodniami rozgniewana matka odprawiła temi słowy niesforną kucharkę. Dziecko było przy tem obecne i teraz dając folgę swemu uczuciu użyło tych samych słów, co mamusia przed pewnym czasem. Któżby przypuścił, że to tak utkwi w pamięci małej córki? A jednak ona nic innego nie uczyniła, jak tylko to, co tworzy jej charakter: naśladowała mamusię.

Jak to mamusia musi być oględna w wyrazach, nawet w gniewie i uniesieniu, jeżeli Zosia jest obecna! Niewątpliwie odtąd wskutek wpływu córki będzie bardzo uważać na każde słowo swoje.

*

Pieszczoszek poczyna wyrastać z pod wpływu mamy; tatuś wkracza coraz więcej w swoje prawa. Po egzaminie wstępnym do szkoły średniej i pomyślnym jego wyniku odbyły się w domu uroczyste postrzyżyny, rzęsiste oblanie łzami złocistych kędziorów, trefionych z taką lubością przez mamę, i ubranie Adasia w mundurek gimnazyalny. Mała kontrowersya toczyła się przy bluzce, którą mamusia chciała mieć więcej wciętą i z czterema kieszeniami ukośnemi, ojciec bronił ze zmysłu praktycznego bluzki wolniejszej i podług przepisu. Ostatecznie zwyciężył. Ale po tej wstępnej trosce wkrótce zjawił się ich hufiec cały. Adaś, pomimo postępów wybitnych w szkole pospolitej, nie mógł z początku zająć się językiem łacińskim w tym stopniu, jak wymagano i począł pozostawać w tyle. Ojciec nie chcąc do pierwszych kroków dawać pomocy Adasiowi w postaci t. zw. korepetytora, począł sam przypominać sobie szkolne czasy, przestudyował gramatykę zwięzłą i uzyskał czego chciał, bo Adasiowi pomógł sam dobrze i pchnął go na właściwą drogę, chociaż się dziwił, że teraz nie uczą tej gramatyki w wierszach, jak to było u Poplińskiego; *panis*, *piscis*, *crinis*, *finis*.... Gorzej było z geografią; Adaś widocznie nie dosyć uważał w szkole i nie mógł sobie dać rady z prostemi nawet rzeczami. Ojciec znowu zabrał się do przestudyowania podręcznika szkolnego i ze zdziwieniem zobaczył, że to są rzeczy bardzo metodycznie ułożone, bardzo potrzebne i bardzo zajmujące, których za jego czasów tak nie uczono. Nie tylko Adasiowi wytłómaczył i pomógł, ale sam się przez Adasia nauczył wiele.

*

Przyjechał w odwiedziny wujaszek. Młodzieniec wesoły i patrzący na życie ze strony wesołej rozpoczął znajomość ze swoim siostrzeńcem od tego, że go poczęstował papierosem.

— Nie palisz? — zawołał — uczeń z klasy IV gimnazyalnej nie pali?

Adaś się zarumienił, jak gdyby go na złym uczynku schwytano.

W odpowiedzi wyręczył go ojciec:

— Nie pali i nie będzie palił, bo ja mu to odradziłem i wytłómaczyłem.

— No tak — przerywa wujaszek — nie pali, skoro widzisz, ale tem gorzej, że się będzie krył przed tobą. Lepiej, że chłopiec przy ojcu zapali, aniżeli gdzieś tam w ukryciu po kątach.

— Proszę cię, dajmy już temu pokój — zakonkludował ojciec i wysłał z pokoju Adasia, który pierwszy raz się dowiedział, że można ojca nie słuchać i potajemnie papierosy palić.

Wujaszek nie dał za wygraną.

Po herbacie począł sypać jak z rękawa tłuste anegdotki i chwalić się swemi zwycięstwami nad płcią słabą. Obydwoje rodzice starali się rozmowę sprowadzić na inne tory, ale nadaremnie. Adasia trzeba było znowu wysłać do jego pokoju, aby dokończył lekcyi na jutro, ale o czem ten Adaś począł tam rozmyślać w samotności?

Ojciec postanowił trzymać odtąd wujaszka jak najdalej od domu swego, a szczególniej od Adasia.

*

Co więcej — począł teraz być bardzo wybrednym w wyborze kolegów Adasia, którzy doń przychodzili dla zabawy i nauki. Szczególnie jeden z nich, syn dawnego znajomego i przyjaciela, nie podobał się ojcu Adasia i radby był w jakikolwiek sposób usunąć chłopca z pod wpływu tego lekkoducha, ale była to rzecz niemożliwa. Szczególnie uderzała ojca niezwykła skłonność tego chłopca do nicowania profesorów, do wyśmiewania zarządzeń szkolnych i zuchwałego przekraczania przepisów. Przy sposobności informacyi w szkole dowiedział się ojciec, że ów bohater ukarany został surowo za palenie papierosów na plantacyach i zuchwałe zachowanie się wobec karcącego go nauczyciela. A byli tam i inni koledzy, był niestety i Adaś — szczęściem nie palił. Ojciec odetchnął, ale odtąd postanowił ograniczyć swój czas wolny, a brać Adasia na przechadzkę i tym sposobem chronić go od złego towarzystwa.

*

Adaś rzucił się namiętnie do lektury. Pożyczał książki z biblioteki szkolnej, ale począł pożyczać i od kolegów i czytać bez wyboru. Jednej nocy ojciec obudziwszy się spostrzegł smugę światła we drzwiach pokoju Adasia; zerwał się tedy z łóżka i wszedł do sypialni syna. Adaś leżąc w łóżku czytał, a był tak zaczytany, że nie słyszał wejścia ojca.

— Co ty robisz, dziecko? — zapytał ojciec.

Adaś ocknął się i podniósł na ojca wzrok mętny; na twarzy miał silne wypieki, ręce mu drżeć poczęły i puścił książkę. Ojciec ją podjął i przeczytał tytuł:

Tajemnicze przygody Szerloka Holmsa
Nr. 10. Tajemnica młodej wdowy.

— Skąd to wziąłeś? — zapytał groźnie ojciec.

— To tatusiu od kolegi.... Ale niech mi tatuś nie zabiera, to takie ciekawe, ja zaraz skończę.

W tej chwili uderzyła godzina 2.

— Słyszysz, dziecko, druga po północy. Nie możesz czytać dłużej, bobyś jutro nie był do nauki sposobny. Biorę ci lampę i książkę, śpij, a o książce pomówimy jutro.

Okazało się, że lekturą taką karmił się Adaś już od pewnego czasu. Czytał:

Z tajemnic wesołego świata,
Śmiertelną jazdę naczelnego wodza,

a z tak zwanej „Czarnej biblioteki"

tom 25. *Zemstę zawiedzionej miłości.*

Czytał tę lekturę denerwującą i wstrętną, a czytał po nocach, aby rodzice o tem nie wiedzieli, a czytał dlatego, bo w jego klasie ciągle o tem mówiono, czytali prawie wszyscy, a nawet sobie z tych książek przybierali nazwiska. Nic dziwnego, że rodzice w ostatnim czasie zauważyli bladość na jego twarzy i pewne nerwowe rozdrażnienie, którego przedtem nie było ani śladu. To zdrowie dawne powrócić jeszcze może, ale kto powróci dziecku tę czystość duszy, którą z tą lekturą straciło? Jakaż szkoda, że wcześniej nie pokierowano lekturą Adasia!

*

Kolega Adasia został wezwany do kancelaryi dyrektora. Czekała tam już jego matka, przerażona wiadomością, że syn coś przewinił i że może być wydalony z zakładu. Wyszło na jaw, że młodzieniec w godzinach wieczornych przychodził na dworzec kolejowy i w korytarzu przy poczekalniach miewał schadzki z osobami wątpliwej konduity. Aż zwróciła na to uwagę policya....

Matka, która wierzyła dotąd, że syn nigdy nie skłamał, nie mogła ust utworzyć; syn z początku się wikłał, potem wyznał, że nie chodził do kolegi, jak mawiał matce, ale na dworzec.

— Dlaczegóż pani pozwoliła mu wychodzić tak późno?

— Kiedy zawsze mówił, że idzie do kolegi uczyć się matematyki, a zresztą chłopca tak dużego trudno przecież trzymać pod zamknięciem...

Żal matki dobrej, ale łatwowiernej, żal ojca, nie dbającego o zachowanie się wyrostka pozaszkolne; czy ich i ten smutny i w następstwach przykry wypadek nie nauczy, że opieka nad

synem, choćby dorastającym, nie polega tylko na podaniu mu odzienia i strawy?

*

Kiedy gruchnęła po Krakowie wieść o niezwykłym wypadku w sąsiedniem miasteczku, o bydlęctwie, jakiego się miało dopuścić kilkunastu uczniów szkół średnich — ileż serc matek nie zabiło trwogą, czy bodaj mojego tam nie było syna? Daj Boże, aby go nie było, ale daj Boże, aby ten przykład był nauką dla rodziców wszystkich, do czego wiedzie brak opieki nad młodzieżą.

Czy nie mamy dosyć środków i sposobów, czy nie mamy woli dość silnej i energii potrzebnej? Rodzice, którzy odzwyczajali się od różnych wygód i nawyczek przez wszystkie dni wychowywania swych dzieci — a przez to niejako wychowywali się sami i uszlachetniali wskutek dzieci — niech wierzą, że dom i szkoła w porozumieniu i łączności największe zło, jakie grasuje w społeczeństwie, tj. upadek moralny młodzieży — mogą zwalczyć i stłumić, ale trzeba stanowczości i konsekwencyi, ale trzeba mieć za gwiazdę przewodnią nie intellektualizm i karyerę, lecz ideał moralny i narodowy.

Ufamy, że się to stanie, jeżeli rodzice korzystać będą z doświadczeń, uczyć się będą na przykładach i wychowywać niejako przez wychowywanie swych dzieci; ufamy, że się to stanie, bo któżby nie chciał strzedz tego skarbu, jakim jest młodzież, ta nadzieja i przyszłość nasza....

Roman Zawiliński.





Z Martyrologii Unickiej.

. . . .

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanemi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę, i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolenbrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczynali drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy! A przyszli tylko sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwoleństwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takiem przejściem, o którem tylko wie stary Lewczuk z Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczelniej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i ówdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzą, panie! — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnem morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słychać było dalekie kwakania dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi się poruszało w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w blednących zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długiem, męczącem oczekiwaniu, rozległy się wołania:

— Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom skłębionym gwałtownie i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podnosiły się krótkie i mocne rozkazy:

— Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód! Rozstąpić się!

Usłuchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za niemi zwarła się wielkiem półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamanym murem, ramię przy ramieniu, i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących świa-

tłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Palący wicher westchnień się zerwał, i łzawy krzyk i jęk serdeczny.

— Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancyą i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancyę wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak źrały łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednem westchnieniem i uczuciem jednem tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się jakby świetlane widzenie, zawieszone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki. niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów. niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozpływały się pachnące dymy, i złocista monstrancya unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadło głębokie milczenie, i było tylko słychać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrzęsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się rozkolebał, rozgałęził na chwilę i przycichnął i pochylony jakby się wsłuchiwał w rozdrgane szmery modlitw, w rozełkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

— Jezus Marja! Święty Józefie!

— Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

— Cicho, teraz nabożeństwo — odezwał się ktoś karcąco.

— A niech przyjdą i niech nas wezmą; — podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestrachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i ówdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

— To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiły, jak trybularze, bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniej zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroiły się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wzniósł wysoko monstrancyę, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać! — odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy,

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnych dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancyą i donośnym, dźwięcznym jak dzwon głosem zaintonował suplikacye.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwemi ustami świętą melodyę i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancyi, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat ogromnym, głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertalności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żałosnym płaczem i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną źrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły i śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im ślub i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dzietni, a którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach,

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest nasz lud na „Czerwonem Podlasiu“.

. . . .

Przez parę tygodni jeździłem po tych cichych, oprzędzonych melancholią i dziwnym smutkiem ziemiach, gdzie każda wieś była przez całe dziesiątki lat niezdobytą twierdzą, każda chałupa okopem walczących do ostatniego tchnienia, i każdy człowiek nieustraszonym bojownikiem świętej sprawy.

A codziennie słuchałem wstrząsających opowiadań, codziennie ktoś mi odsłaniał rany, ledwie przyschnięte, i szeptał zbielałemi wargami tragiczne dzieje swoich najbliższych; i codziennie z żywej, krwawiącej jeszcze pamięci wynosiły się postacie świętych męczenników, przerażające sceny „nawracań“, bezprzykładne cierpienia i nadludzkie ofiary.

Długo i boleśnie brzmiały mi w sercu, jakby echa pomarłych płaczów, żałosne echa jęków, i dzikie, rozpierzchłe odgłosy nahajek, strzałów i skarg.

I snuły się przedemną wciąż, na każdem miejscu i o każdej porze, jakby niezliczone, blade widma pobitych, które, „jak kamienie, ręką Boga rzucane na szaniec“, zwaliły się w mogilne doły, dając wszystek żywot na świadectwo swojej wiary niezłomnej i swojego narodu.

I zrozumiałem, dlaczego takim smętkiem owiana jest ta ziemia, dlaczego tam słychać nocami płacze na rozstajach, dlaczego bory szumią taką posępną skargę, ptaki śpiewają jakoś smutniej, nawet wichry jęczą żałośniej, a pod nizkiem, szarem, skłębionem zawsze niebem ludzie przesuwają się cisi, skupieni w sobie, z przytajonemi płomieniami w oczach, drobni, a pełni żelaznej mocy wytrwania: nieulękli, niezmożeni, bohaterscy.

I wtedy także odczułem w całej grozie i wielkości tę jedyną na świecie martyrologię żywych i umarłych, pisaną krwią i łzami całego ludu.

Władysław St. Reymont.

O rzepie — wiejska przypowieść.

O różnych na tym świecie sprawach, o cnotach swoich, jako i przywarach, opowiadają ludzie przypowieści, które są mądrością narodów.

Opowiada przypowieści one lud prosty, pod postacią bajki, mądre, bo proste rzeczy powiadając.

Uczeni jednako w przypowieść ludu prostego nie wierzą, owszem, śmieją się właśnie, pobłażliwie, słuchając, bo uczeni w rzeczy proste nie wierzą.

A nie wierzą dla tej przyczyny, iż myśl ich prostą być przestała, i prostą drogą nie bieży, lecz krętemi ścieżkami, obchodząc dłużej — nieraz — idzie tam, dokąd rozum prostego człeka dojdzie odrazu.

I nie dziw. Bo człeka uczonego uczą księgi, które inni ludzie spisali, to jest, uczy go rozum ludzki.

A człeka prostego uczy księga, każdemu, kto w niej czytać chce i umie — otwarta, a którą spisali nie ludzie, lecz Mądrość odwieczna i Prawo przedwieczne Przyrody, która jest obliczem boskiem.

Jednako, tak ten uczony, jako i ten prosty człek, choć różnemi drogami idąc, przedsię do jednej mety, na końcu zdążą.

Ino ten, kto ani prostym będąc człowiekiem, ani też uczonym wysoce, coś niecoś ino rozumów cudzych liznąwszy, wielkie nad inszymi przewagi swoje pokazuje, ten właśnie często głupio czyni.

Bo każdy człek, ma być wyraźnie albo dobrym wcale, albo też złym zgoła.

Oni ludzie, którzy, ani źli są ani też dobrzy, najmniej ufności są godni, iż na nich zgoła polegać nie można.

Kto chory obłożnie, ten litość budzi, iż miłosierni pieczą go otaczają.

Kto zasię zdrów i wesół, a silny jest i krzepki, ten pożyteczny jest światu.

Ale ci, co przez poły zdrowi są, a przez poły chorzy, ustawnie stękając, ani w szpitalu miejsca nie mają, ani też nikomu nie są pożyteczni, bo *sana mens in sano corpore* mieszka.

Człowiek miłuje słonko jarkie, w dzień jasny życie i ciepło rodzące, albo też burzę grzmotami ryczącą. Ale skoro dni kilka deszczyk nudny stąpić pocznie, ani gromami hucząc, ani pogodę zwiastując, tedy się ludzi sroga Nuda imie.

Młodym będąc, jako zwyczaj, do szkół chodziłem i w księgach czytywałem.

Aliści, kiedym pomiędzy kmieciami osiadł, w polach szerokich i sadach, czytać począłem w księdze wielkiej, której kartami są: ziemia, wo-

da, powietrze i płomień, a literami: prostego ludu pieśń, przysłowie i przypowieść.

A kiedym się czytać na tej księdze nauczył i w niej rozmiłował, tedym wszystkie ludzkie księgi, w kąt je cisnąwszy, poniechał, iż je zwolna pająk tamże pajęczyną zasnuł, gdzie *in pace*, niechaj *requiescant*.

Onę ludu prostego mądrość, chłopskim rozumem pospolicie zowią, a bywają niektórzy, co radzi ludu przypowieści rozlicznych słuchają, w księgi je owszem skrzętnie spisując, aby *gens humana* prawdę wieczystą w tych prostych powieściach snadnie uznać mogła.

I ja też nie ednę z przypowieści onych słyszałem i często je za prawidło i jakoby drogowskaz mam, a że zgoła *invidia* w sercu mem nie gości, tedy Wam, Czytelnicy mili! jedną powiastkę opowiem.

Zeszli się razu jednego ludzie we wsi, obyczajem starym wiec odprawując.

A, iż kmieciowie byli tam prości, porówno z wielce uczonymi mężami, rady onej *participes*, siła t dy rzeczy mądrych tam powiedziano i chocia w niejednej różnie różni mówili, przedsię, jako, że to sami mądrzy radzili, wszyscy na jedno — *de re publica salvanda* prawiąc — na końcu się godzili.

Trafił się tam do tego jeden, któren, z ksiąg nieco rozumu — (nie najwięcej jednako) — wyczytawszy prostego, dziecinnego rozsądku dawno był zapomniał, wielkiego zasię, uczonych mężów umienia, nie nabywszy.

Ten, powstawszy, duby smalone, jako to mówią ni w pięć, ni w dziewięć, prawił, ku temu zmierzając, aby onę chwalebną prostoty z rozumem zgodę pomieszał, i rzecz całą popsował.

Już też i źle się poczynało. Albowiem, słabszego ducha będący, chocia i nie wiele z tej rzeczy rozumieli, wszakże chwiać się poczynali, i już by było z miłej zgody do okrutnego zamętu przyszło.

Aliści w owej rozsterce, kmieć pewien wysoki, po staroświecku postrzyżon, a mądry snać owym prostym rozumem, powstawszy, rzecze:

„Za przebaceniem — tak on kmieć wiejską mową prawił — za przebaceniem Was tu wszyćkich meni Panowie, którzy rozumy w księgach ćwicone posiadacie, i Was tu wszyćkich, miłe sąsiady, którzy jako i ja z prosta myślicie, i Was tez Panie, któryście rzec Wasą mówili, takze.

„Nie wiem jo, jeśli dobrze mówił ten, co mówił, ani to moja sprawa sądzić, bom człek prosty.

„Ani, jaki by był onej rzecy skutek, nie wiem takze, ino Was, za przebaceniem Wasem zapytam, jezeli znacie onę jarzynę, którą my chłopi uprawiamy, a którą co rok na targ do Krakowa wozimy, a którą pospolicie nazywają: rzepa?“

Gdy mu zaś w zgromadzeniu powszechnie przyświadczono, iż każdy jarzynę ową zna dokladnie, rzecz dalej prowadził:

„Tak tedy — prawi — choć ta wszyćka jarzynę tę znacie, nie wiem cy Wam znana jej własność jedna? Bo rzepa, skoro ją dobrze uwarzys, zmięknie i smacno jest a słodko, tak, ze ją i człowiek zje chętnie i bydlę rade zezre, bo to jest zdrowe.

„Ta sama zasię rzepa, jeślibyś ją surową, prosto ze ziemie, wodą opłókawsy, chciał zjeść, to takze bardzo dobro i smacno będzie, tak, ze ją i człowiek zje chętnie i bydle rade zezre, bo to jest zdrowe.

„Ale ta rzepa, jeśli nie jest ani prosto ze ziemie surowo, ani tez dobrze ugotowano, ino tak cokolwiek ozparzono, to taką goryc w sobie ma, i taka niedobra, ze jej człowiek w zaden sposób nie zje, a bydle ino powącha i odejdzie.

„Za przebaceniem Was tu wszyćkich, uceni Panowie, co rozumy w księgach ćwicone macie, i Was tu wszyćkich miłe sąsiady, którzy, jako i ja z prosta myślicie, i Was tez Panie, coście rzec Wasą mówili!

„Powiem Wam, ze coście mówili, to ani takie mądre nie jest, jak to, co prawią ludzie mądrzy, ani takie głupie, jak to, co my prości kmiecie mówimy.

„Boście Wy Panie, ani taki mądry, jak ci uceni panowie, ani taki głupi, jak ja, prosty chłop, inoście trochę na rozumie — jako ta rzepa — osparzony, i bez to rzec Wasa głupia jest i ani onym Panom uconym, ani nam chłopom prostym do rozumu nie trafi“.

Co usłyszawszy, on mowca, zasromał się i rozsierdził, a wstawszy uszedł. Zasię zgromadzeni zgodnie rzecz swą uchwalili.

Co namniejsza! Ale jako widzicie, prosty ten rozum kmiecy w sedno trafił, i rzecz rozwiązał jedno przypowieścią, czego uczeni, mądrem dowodzeniem nie wskórali.

W jakiejże tedy księdze czytać pożyteczniej?

Czy w tych, co ludzie w typografiej drukują, czyli w tej, którą, wedle pisma, Stwórca przez dni sześć, przed wiekami był wydrukował?...

Włodzimierz Tetmayer.

Co jest teatrem w teatrze.

Każdy teatr na świecie ma odłam klienteli, która do teatru chodzi za darmo. Klientelę tą nazwaćby się godziło publicznością bezinteresowną. Bezinteresowną dlatego, że na niej właśnie żadnego interesu się nie robi. Są to entuzyaści bez konsekwencyi dla kasy teatralnej. W języku kulis nazywa się ta publiczność wymownie: d a r m o c h ą. Jest jeszcze inne określenie owej warstwy entuzyastów, mianowicie w a t a. Mam nadzieję, że ścisłość tej definicyi oceni przedewszystkiem płeć piękna.

Instytucya owej waty, lub jeżeli Szanowni Państwo wolicie, darmochy jest tak już uświęcona

teatrach, że niektóre teatry, a zwłaszcza francuskie, mają nawet odrębnych funkcyonaryuszy do załatwiania owych bezinteresownych entuzyastów. Nie mogę co prawda powiedzieć, by technika owego załatwiania była wzorem uprzejmego traktowania stron. Przeciwnie, forma odmowy krystalizuje się tam częstokroć w aforyzmach takich: „znowuś pan przyszedł“ lub „wszelki duch... „więc wiadomość o pańskiej śmierci była zwykłym ludzkim wymysłem? Ano trudno...“ lub jeszcze krócej:

— Wynoś się pan z łaski swojej...

Bądź co bądź jednak darmocha musi mieć swoją wartość dla teatru, skoro ustanawia się dla niej urzędników.

Jednego z takich urzędników od waty miałem przyjemność znać osobiście. Był to nie tylko urzędnik, lecz nieco filozof i nieco reformator. Jego marzeniem reformatorskiem było zniżyć ilość darmochy do *minimum*, a liczbę płacącej publiczności podnieść do *maximum*. Mam wrażenie, że ideał jego podzielają wszystkie bez wyjątku kasy teatralne. Zupełnie przeciwne opinie wyznawała natomiast darmocha.

Na temat powyższy rozgrywał się często między reformatorem, a entuzyastami dyalog treści następującej:

— Czy mógłbym szanownego pana prosić dzisiaj o bilecik gratisowy? — pytał z tremą człowiek-wata.

— Nie — brzmiała krótka odpowiedź.

— Dlaczego?

— Bo nie — odpowiadał filozof-reformator, który przytem był lakonem z natury.

— Przecież dzisiaj i tak pusto będzie w teatrze. Sztuczka marna... Szanownemu panu to nic nie szkodzi, a jak będę siedział na sali, to będzie bądź co bądź trochę pełniej.

Tutaj z ust reformatora padała pełna wagi formuła:

— My nie chcemy, żeby było pełno w teatrze, tylko pełno w kasie.

W wyobrażeniach jego adeptów mniej krytycznych powstawać zaczęły kontury teatru idealnego: scena, olbrzymia kasa i zupełne usunięcie sali widzów... W marzeniach swych nazywali to teatrem przyszłości.

Urzędnik ów zaś sam, o którym tutaj mowa, zanadto wielkim był znawcą teatru, by figlarną formułę swą brał w istocie za prawdę. Dla niego samego szkic takiego teatru przyszłości był żartem nie tylko z ekonomicznego punktu widzenia...

Zastanówmy się bowiem, co w istocie jest teatrem? Nie gmach, skoro tyle wieków grywano sztuki, lepsze nawet może od dzisiejszych, bądź to pod gołem niebem, bądź w przypadkowych stodołach, stajniach lub karczmach. Teatrem nie są i aktorzy, bo niech spróbuje kto zakontraktować artystę, choćby na rok tylko, ale z warunkiem, że będzie grał „sztuka dla sztuki“ t. j. przed pustą salą widzów. Próbujcie mu dać nawet wspaniałe warunki materyalne. Istota jego twórczości polega na tej ciągłej, nerwowej kontroli, jakie wrażenie z jego gry odbiera słuchacz i widz.

A więc czy teatrem jest obecność zbiorowa setki lub tysiąca ludzi, patrząca na to, co się dzieje na scenie? Tak i nie. Obecność to mało.

Odwróćmy się na chwilę od tego pytania i przejdźmy do sprawy, pozornie pobocznej.

Oto wyobraźmy sobie, że ktokolwiek z nas, idąc spacerem po nieznanej drodze, napotyka naraz na fragment krajobrazu, który go zachwycił. Stanął, przypatruje mu się. Nasyca się wspaniałością widoku. Przypatrzmy się temu człowiekowi z boku. Po czem możemy dostrzedz zachwyt, odbierany przezeń: oto po powadze twarzy, po uporze patrzenia dłuższego w jedno i to samo miejsce — i po niczem więcej. Obserwator może się raczej d o m y ś l a ć jego zachwytu, niż zachwyt ten w nim widzieć.

Ale nie schodźmy ze swego punktu obserwacyi i czekajmy dalej, czekajmy, aż przejdzie grupa dwóch choćby osób — i dostrzeże tę samą piękność natury. Jakżeż odmienny tu będzie sposób, jak odmienna już manifestacya zachwytu. Oto jedna z osób zacznie w tej chwili ręką rysować kontury widzianego pejzażu, jakby rysunkiem swym chciała podwoić piękno wrażenia. Gesty rąk, ciała, blask oczu będą pragnęły oddać sobą wyobrażenie tego piękna. W każdej z tych dwóch osób powstaje bezwiedna agitacya na rzecz widzianego krajobrazu, każda z tych dwóch osób pragnie uczucie swojego towarzysza doprowadzić do swojego stopnia zachwytu, rozpoczyna się licytacya wrażeń i wzruszeń. Staje się rzecz niechybnie pewna, że każda z tych dwóch osób odbiera w tej chwili znacznie więcej wrażenia, aniżeli odebrałaby, patrząc na ten sam krajobraz w samotności.

Czem była ta potrzeba gestykulacyi, ta potrzeba rysowania swego wrażenia w przestrzeni, ten bezwiedny wyraz plastyczny w oczach, to nieskontrolowane wydobywanie się dźwięku zachwytu z gardła — cała ta agitacya psychiczna, roztaczana wobec towarzysza zachwytu? To wszystko było bezwiednem ujawnieniem instynktu aktorskiego, tego instynktu, który tkwi w każdym niemal człowieku. Tkwi on w każdym z nas w mniejszym lub większym stopniu, ale stanowi nieodłączną część naszego temperamentu.

Krajobraz widziany przez każdą z tych dwóch osób, to była **rola** jego instynktu aktorska, obecność zaś, a raczej współwrażenie towarzysza — to była arena, mikroskopijna komórka sali widzów. Choć tak mała — wystarczyła, by instynkt zdrzemany obudzić i wprowadzić go w stan czynny.

Na tym samym instynkcie aktorskim, tkwiącym w każdym widzu teatralnym, opiera się sztuka aktorska i nawet może sztuka dramatyczna. Teatrem w teatrze jest nie co innego, tylko ten moment, kiedy pod wpływem gry zawodowych artystów na scenie budzi się na sali, wśród widzów,

zbiorowe, choć niewidzialne i niedoświadomione pragnienie naśladowania tej gry, kiedy odczuwać zaczynamy, że i my widzowie wchodzimy już w skórę i w duszę bohaterów, kiedy dziecinnie niemal zaczynamy się troszczyć o losy bohaterów, kiedy chcemy od szlachetnych figur z dramatów odsunąć nieszczęście, przysporzyć im szczęścia..

Teatrem w teatrze jest więc nie nasza obecność i nie gra artystów brane w oderwaniu od siebie, lecz właśnie ta chwila, kiedy niejako zatracamy swą obecność, przestajemy być słuchaczami i widzami, a sami stajemy się aktorami, a potem i więcej: współpracownikami autora dramatu.

Pod wpływem naszych nerwów rośnie i doskonali się gra aktorów. Wówczas, w chwili tej, aktorzy na scenie są tylko jakoby zastępcami naszego instynktu, dramat zaś gra się w gruncie rzeczy naszą utajoną żądzą areny.

Teatr więc, sztuka dramatyczna, sztuka aktorska istnieją na świecie z tego powodu, że instynkt czyli żyłka aktorska jest pierwiastkiem psychologicznie niezbędnym w każdym człowieku. Wystarczy uważnie przejść myślą — czem jest rola dowcipnych ludzi w towarzystwie, czem jest t. zw. ożywienie w większem gronie osób, czem jest ta nieuchwytna radość nerwowa, która się rodzi w zbiorowiskach, czem jest t. zw. ożywienie samotników przez rozrywki, żeby się przekonać, jak wielką rolę w życiu naszem gra ta wrodzona żądza areny.

Żądza owa wraz z instynktem aktorskim jest objawem poprzedzającym i wszelką twórczość artystyczną wogóle... Ona tkwi zarówno w muzyku jak i w malarzu... w architekcie jak i w literacie. W pisarzu scenicznym dochodzi dopiero do swego najbezpośredniejszego wyrazu.

I dlatego właśnie, że instynkt teatru, bezwiedna radość oklasku w artyście wielkim musi istnieć, musi go nękać, dlatego tylko może frazes głoszący, iż teatr jest „syntezą“ wszystkich sztuk — ma jakieś realne prawdopodobieństwo.

Adam Grzymała Siedlecki.

List z Krakowa.

Motto: „Nasz śliczny Kraków, starodawny gród...“

Nie wiem, czy kto z Szanownych Czytelników był kiedy w Krakowie? Jeżeli był, to należy mu się uznanie, jako jednostce, która pragnęła poznajomić się z tem, co my, Krakowianie, bardzo chętnie nazywamy duchową stolicą Polski, a Lwowianie i Warszawiacy nudnem miasteczkiem. Jeżeli nie był, nie śmiałbym go zapraszać. Przed niedawnym czasem poruszono myśl, aby w Krakowie urządzić kongres esperantystów i wahano się tylko dla tego, że inicyatorzy nie mieli pewności, czy zbiorą dość wielu esperantystystów-milionerów, aby mogli pozwolić sobie na trzydniowy pobyt w naszem mieście. Jedyna nadzieja — jak zawsze — w rządzie wiedeńskim. Krajowy Związek Turystyczny poczynił już zabiegi, aby uzyskać subwencyę na zbudowanie w Krakowie cesarsko-królewskiego hotelu, który za wniesieniem podania ze stemplem jednej korony i za świadectwem ubóstwa będzie wydawał pokoje po cenie sześciu koron za dobę i wyżej, tak, aby umożliwić pobyt nawet rodzinom poniżej czterdziestu tysięcy koron rocznego dochodu.

Prawda, Szanowni Czytelnicy, że o tem nikt z Was jeszcze nie wiedział? Naturalnie, bo aby wiedzieć, co się dzieje w Krakowie, nie wystarczy czytać pisma krakowskie. Do prawdziwie ciekawych wiadomości mamy służbę lokalną: pocztę pantoflową, jeden z czcigodnych zabytków przeszłości, których Kraków tyle posiada i z takim pietyzmem konserwuje. Kto chce mieć takie wiadomości, musi zatem pójść do handelku. Czemu? To tajemnica, której może dowiemy się kiedyś — w handelku.

Ponieważ jednak, wbrew opinii niektórych cracoviologów — nie wszyscy Krakowianie spędzają 16 godzin na dobę na tej agorze polskich Aten, przeto korzystając z przywileju korespondenta (jest to przywilej niedyskrecyi), pozwolę sobie zwrócić uwagę na kilka scen z naszego życia, odegranych autentycznie przed czasem wcale nie tak dawnym. Jedną z osobliwości naszych są, jak wiadomo, stosunki ekonomiczne, o których na wstępie wspomniałem, a które malkontenci nazywają zjadliwie „drożyzną“. Nie każdemu może wiadomo, iż osobliwość tę pielęgnują z uznania godnem staraniem nie tylko właściciele domów, lecz i władze. Gdy kto z pierwszych zdradza karygodne niedbalstwo o własne interesy i bierze zbyt tanio za mieszkanie, to drugie ratują go przed jego własnem szaleństwem i nakłaniają do podwyżki, z pomocą tej *douce violence*, która stanowi jedną z podniosłych tradycyj fiskalizmu. Na tem tle toczyły się niedawno następujące rozmówki:

Scena I. Osoby: koncepista podatkowy, sekretarz sądowy. Planty.

KONCEPISTA: Więc idziesz do Tarnowa z awansem! Gratuluję. Wpadnę kiedy.

SEKRETARZ: Mam nadzieję... Ale, ale, nie potrzebujesz mieszkania?

KONCEPISTA: Naturalnie. Byle niedrogie. Tak, jakie tysiąc pięćset koron za dwa pokoje z kuchnią, toby się jeszcze dało...

SEKRETARZ: Mój gospodarz, to wymierający okaz filantropa. Wyobraź sobie: cztery pokoje

z łazienką: tysiąc ośmset koron! „Mam swój procencik, ludzi nie chcę zdzierać“ — powiada.

KONCEPISTA: Ależ to dobroczyńca ludzkości — pędzę, pędzę! Zaraz jutro wymawiam swoje mieszkanie. Gdzie? Krowia 54? A niechże Ci Pan Bóg zapłaci... (odbiega).

Scena II.

Tego samego dnia, o tej godzinie, co poprzednio, tylko w bardzo groźnym urzędzie. Osoby: gospodarz domu przy ul. Krowiej 54. Władca.

WŁADCA urzędujący: I to ma być fasya? Żarty, szanowny panie. Proszę, oto inne fasye z tej samej ulicy: Obdzieralski: cztery pokoje dwa tysiące dwieście; Goldfresser: trzy pokoje tysiąc pięćset; radca miejski Klocek: dwa pokoje i łazienka tysiąc ośmset; Dr Beutelschneider pięć pokoi: trzy tysiące sześćset...

GOSPODARZ: Ja tego nie robię... Swój dziesiąty procencik na czysto mam, ludzkiej krzywdy nie pragnę...

WŁADCA: Ajajaj.... Zaraz: ludzka krzywda! Kto mówi o krzywdzie? Wszyscy tak biorą. A nawet powiem łaskawemu panu, że takie obniżenie czynszu musi wydać się nieco dziwne... tak... doprawdy... takiej fasyi...

GOSPODARZ: Więc panowie każdą fasyę uważacie z góry za fałszywą?

WŁADCA: Ależ zaraz fałszywą! Błędną... niewłaściwą... mylną... ale fałszywą?! Zresztą pan Obdzieralski, pan Beutelschneider nie mają z nami żadnych konfliktów...

GOSPODARZ: Tylko, ja, dlatego, że biorę tanio!

WŁADCA: Bo dziś nikt rozsądny... przepraszam, to mi się tak wyrwało... dziś nikt nie najmuje tanio. Po co? A jak najmuje, to my, urząd, mamy prawo żądać, aby brał więcej.

GOSPODARZ: Prawo? Urząd ma prawo podnosić czynsze w mojej kamienicy?

WŁADCA: Oczywiście. Według patentu nadwornego cesarzowej Maryi Teresy z dn. 31 maja 1784 roku i według dekretu kancelaryi nadwornej z d. 30 lutego 1807, jeśli fasya wydaje się nieproporcyonalnie niską... komisya szacująca orzeknie... i t. d. i t. d.

GOSPODARZ: Ja nie mogę... Czem umotywuję podwyżkę?

WŁADCA: To takie proste! Mówi się cokolwiek: nowy dom, ładna ulica, miłe sąsiedztwo, kuchnia, jeden pokój, drugi pokój, trzeci pokój... chodniki... wodociągi... Byle mówić. Ot np. pan powie jeszcze: tramwaj staje tuż obok, wygodna komunikacya...

GOSPODARZ: U mnie niema tramwaju.

WŁADCA: Niema? Ależ to świetnie: niema tramwaju, więc można spać rano, tramwaj nie hałasuje... Albo: położenie przy pryncypalnej ulicy, bliskość Rynku...

GOSPODARZ: Odemnie kwandrans do Rynku!

WŁADCA: To świetnie!... zatem: spokój wiejskiego zacisza, zdala od rozgwaru miasta...

GOSPODARZ: Dziękuję! Żeby potem o mnie tak śpiewali, jak o tym gospodarzu co zachwalał swój dom:

Piękna kamienica
Blisko strażnica.
Niezeszpecona brukiem ulica
Nowa i prosta jak świeca —
Niech pan tylko zmiarkuje
Co mnie to wszystko kosztuje!

WŁADCA: A widzi, pan! Po co mówić, że nie wie się, co powiedzieć? Niech pan tylko to wyrecytuje i będzie dobrze. Co? to ma być satyra na właścicieli, niby... kpiny? Wydaje się, że kpiny, bo wierszem! Do widzenia. A niech pan pamięta: Dwa tysiące trzysta, co najmniej! Inaczej nie przyjmiemy!

Scena III.

Osoby: Gospodarz, koncepista z pierwszej sceny. Miejsce: Krowia 54.

GOSPODARZ: Cztery pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka, jest i łazienka. Co? Popsuta? To szelma instalator, rok temu kazałem naprawić! Wszystko świeżutkie, czyściutkie... Czy się zawali? Broń Boże, u mnie jeszcze się nigdy nie zawaliło. Co? Tem gorzej? Czemu? Aha, że są niby większe szanse zawalenia? Ha, ha, ha, pan dobrodziej wesoły, ja lubię wesołych lokatorów...

KONCEPISTA: Ale łazienka jak dla dziecka. Dorosły człowiek nie zmieści się w takiej dziurce.

GOSPODARZ: Bo też pan dobrodziej dobrej tuszy, na psa urok, dobrej... Przy dobrych chęciach zmieści się każdy. Ale, ale, pan dobrodziej mówił o dzieciach: pan dobrodziej dzieci niema, prawda? Naturalnie, kłopot, nic więcej, kiedy małe, to krzyczy, potem jak syn, to do wojska wezmą, córce trzeba dać posag... Ja też z dziećmi nie wynajmuję, a gdyby kiedy potem, broń Boże, zaraz wypowiadam. U mnie zasada, to grunt. Gdybyśmy tak wszyscy trzymali się zasad, inaczej byłoby z biednym naszym krajem!

KONCEPISTA: W jadalnym pokoju czworo drzwi i jedno okno. Jak tu co ustawić?

GOSPODARZ: Można. Ja to obliczałem na takie ładne, nowe meble. U mnie wszyscy lokatorzy mają modne meble, secesya, pan dobro-

dziej już wie, co to secesya. Secesya, to znaczy, że wszystko jest szczupłe, chude, kobieta secesyjna to jest taka tyczka na chmiel... ha, ha, ha...

KONCEPISTA (do siebie): Trudno, wypowiedziałem tam — nóż na gardle, trzeba brać. (Do gospodarza): Więc cena?

GOSPODARZ: Za cztery pokoje z łazienką, strychem, piwnicą, kuchnią, widokiem na piękną, secesyjną kamienicę pana radcy Klocka naprzeciw, sześć minut od plant, trzy od tramwaju...

KONCEPISTA (zaniepokojony): Więc ile?

GOSPODARZ (recytuje dalej): ...okolica sucha, bruk kostkowy, asfalt niedaleko, chodnik betonowy, kanalizacya, wodociągi, światło elektryczne ma być zaprowadzone, światło gazowe na żądanie za zwrotem kosztów, światło naftowe już natychmiast do użycia, telefon w sklepie korzennym na rogu, schody oświetlone do zamknięcia bramy...

KONCEPISTA (w żywym niepokoju): Więc ile?

GOSPODARZ: Tysiąc sto pięćdziesiąt.

KONCEPISTA: Ależ to za bezcen, biorę natychmiast. Tysiąc sto pięćdziesiąt koron!...

GOSPODARZ: Guldenków, proszę pana łaskawego. Ktoby tam na korony liczył! My, ludzie starej daty, my sobie na guldenki, tak, jak ojcowie nasi... Tradycya przedewszystkiem! Gdyby tak wszyscy trzymali się tradycyi, inaczejby było z naszym biednym krajem...

KONCEPISTA: Tysiąc sto pięćdziesiąt guldenów?! Miejże pan Boga w sercu! Skądżeż ja, skromny urzędnik...

GOSPODARZ: Cóż ja na to poradzę? (zjadliwie). Budując tę chałupkę, myślałem tylko o lokatorach, a czy który będzie skromnym, czy nieskromnym urzędnikiem...

KONCEPISTA: Nie! Jeszcze drwiny? To już zawiele! Zobaczymy, mój panie, jak pana się w gazetach opisze! Tysiąc sto pięćdziesiąt guldenów — i to mówić mnie, urzędnikowi podatkowemu?

GOSPODARZ (kamienieje): Podatkowemu!!! Ależ właśnie... wczoraj... kazali... mówili, że mało... biorę...

KONCEPISTA: Jeszcze drwiny?! Ja pana nauczę powoływać się na władzę w swem zdzierstwie! Jeszcze się zobaczymy!! (wychodzi spiesznie).

Gospodarz zostaje sam i spiorunowany powtarza:

Nowa kamienica,
Blisko strażnica
Niezeszpecona brukiem ulica
Niech pan tylko zmiarkuje
Co mnie to wszystko kosztuje!

K O N I E C.

Ale o tem wszystkiem nikt z Szanownych Czytelników się nie dowie. Chyba, że czyta „Listy z Krakowa".

Witold Noskowski.








Pieśń o „Wielkim“ Krakowie.

„Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwią się przez niebiosy“,
A wtórują im po stokroć jeszcze w dźwięk bogatsze
Szklanki pełne na strzelnicy i w Starym Teatrze.
Hen zaś, w górze, najstraszniejszy lśni z niebieskich
[znaków:
— Sam kometa! — Koniec świata? — Nie, to
[„Wielki“ Kraków.

* * *

— Ach, gdy pomyślę, co za rozkosze
Czekają nas w tym „Wielkim“ Krakowie:
— O nic tak szczerze Boga nie proszę,
Jeno o taki drobiazg, by zdrowie
Dał mi i życie tak długo, póki
Plan ów na „Wielki“ Kraków, co pierwszą
Zyskał nagrodę, w czyn się nie wcieli.
Miałbym przy sobie już pra-prawnuki,
Wezwań z podatku pokaźny zasób
I chęć kupienia willi najszczerszą
W projektowanej dzielnicy will, —
A żeby mi tam trzy czwarte pensyi
Na różne gminne podatki wzięli,
Żebym czynsz płacił, wyższy w czwórnasób
Zgołabym o to nie miał pretensyi,
Wobec tych cudnych, rozkosznych chwil,
Które mi za to da „Wielki“ Kraków.

* * *

Dotąd naprzykład andrus krakowski
Szukał zaułku lub choćby krzaków, —
I gdy cię dopadł gdzieś na Łobzowskiej,
Albo za kołnierz wywlókł za wały,
Kędy już smętny dokoła step:
— Z ust z melancholią brał ci ogarek
Cygara, szepcąc: — „Która godzina?“...
— Nie zdarł ci nawet ubrania w kratkę
I co najwyżej zabrał zegarek;
A gdyś chciał dostać tak zwane „w łeb“,
Musiałeś iść aż het, za rogatkę.
— A i tam tylko niesmaczny kares
Robiono z tobą i pugilares
Zaledwie brano ci po złodziejsku,
Bez krzty wielkości. — A gdzie przyczyna?
— Oto, że Kraków djablo był „mały“.

* * *

A dzisiaj wyjdziesz aż na Krowodrzę
I jeszcześ w mieście. Tu już w dzień biały,
Z szerokim gestem, po wielkomiejsku
Współobywatel do cna cię odrze
I tak cię przytem uraczy szczodrze,
Że się w zachwycie wręcz zapamiętasz.
— Błogie uczucie serce ci przejmie
A z ust się radość dobędzie szczera:
— „To wielkomiejska, to atmosfera!...
Jakbym był posłem w węgierskim sejmie,
Nos mam rozbity i nóż gdzieś w biodrze!“
I jak w największej świata stolicy,
Będziesz miał szczęście paść na ulicy
Śmiercią przesławną, głośną i chrobrą,
A Kraków, dbały o twoje dobro,
W pobliżu drugi założy cmentarz,
Byś się czemprędzej do bram wieczności
Mógł dostać. Gdybyś jednakże chciał
Jak najpowolniej ile możności
Jechać, by później stanąć przed rajem,
I na to „wielkie“ miasto ma sposób.
Wprawdzie tak jeszcze nie wożą ciał
W „małym“ Krakowie, ale najprościej
Będzie, w ślad tylu cierpliwych osób,
Kazać się wówczas zawieźć — tramwajem.
— Teraz dopiero zalśni twa sława
I najoschlejsze poruszy serca,
Gdy twój przeciwnik, a jak ustawa
Przedpotopowo mówi: „morderca“,
Stanie przed sądem.
— Będzie rozprawa
I na galeryi siedzące panie
Dadzą zwycięzcy twojemu brawa
I zatrzęsienie kwiatów dostanie.
A że nie będzie żadnych poszlaków,
Choćbyś się trzykroć przewrócił w trumnie,

Lud odprowadzi go z sądu tłumnie,
W stronę Podgórza spojrzawszy dumnie,
Że tak rozsławił swój „Wielki“ Kraków.

* * *

Ta sama rozkosz luba i słodka
Najniezawodniej także cię spotka,
Jeżeli przejdziesz się na Grzegórzki.
Gdyby ci paść zaś nie dały tutaj
Nieba chwalebną śmiercią, — to zabierz
Dla ostrożności dwie portmonetki.
— Jedną, by miała wziąć ci co grabież
Wielkokrakowska, drugą zaś utaj,
Byś się miał za co kazać stąd wieźć,
Bo i tu będą stały dorożki,
Więc do wygodnej siędziesz karetki,
Która ci resztę życia wytrzęsie
I wrócisz ze łzą szczęścia na rzęsie,
Tanio, za głupich koron coś — sześć.

* * *

Największy jednak nasz Benjaminek,
To cichy, sielski Ludwinów, — a tuż
Obok Dębniki, gdzieś szedł bez strachu,
Jeśliś miał brownig. Tu ma być rynek
Drugi i drugi, rzecz prosta, ratusz,
Choć grubo brzydszy, bo bez odwachu.
By ludzie tego za złe nie wzięli,
Stary się ratusz najdroższym z darów,
Jak brat z ratuszem nowym podzieli
Jednym ze swoich sławnych — zegarów.
A aby pośród dwóch miejskich połów
Nie było różnic i archaiczny
Miała charakter i ta część miasta,
— Zamiast stawiania nowych kościołów,
Ażeby rzecz tę załatwić tanio,
Bo lekkomyślnie Kraków nie szasta
Groszem, przeniesie się tutaj śliczny
Kościół Idziego razem z plebanią.

* * *

A oto Czarna i Nowa Wieś,
Gdzieś dotąd nie śmiał chadzać piechotą,
By nie ugrzęznąć w bajorze, — gdzieś
Czekoladowe miętosił błoto
Chevreau kamaszkiem!...
— Aj! Kląłeś też to!
— Dziś ktoby zważał na te drobnostki
W „Wielkim“ Krakowie!? Boże Jedyny!
Przestań też raz być kołtunem! Zresztą
Mnie to najbardziej właśnie zachwyca,
Że i ta nowa niby dzielnica,
Tak się do starej dostraja gminy.
Ta jeno między niemi różnica,
Że w mieście błoto ledwie po kostki
A tutaj sięga aż — po pachwiny.
— Lecz szata kobiet je ogoniasta
Na cztery wiatry rozniesie oba
I śladu po nich nie pozostanie,
Ktoby tam dbał więc o te błahostki?!!
Co mi się jednak bardziej podoba,
To, że nie tylko przez to w harmonii
Takiej jest Nowa Wieś z centrum miasta,
Lecz (w czem należy jej się uznanie!)
Także pod względem swej wdzięcznej woni:
— A ta woń! Moje uszanowanie!!
A jaki przytem swojski koloryt
Tchnie z tych dwóch bajor rozkosznych koryt,
Przy których nawet Rudawa gaśnie!
Skąd jak skąd, ale z tych nurtów właśnie
Wypłynie lśniąca jak meteoryt
Najpowiewniejsza z ojczystych Goplan!

* * *

Tuż obok drugie planty, jak to plan
Pięknie przedstawia. — Wre bulwarowy
Ruch i gwar. Tu się motor zapalił
Przy samochodzie, tam damie z głowy
Kapelusz, wielki jak aeroplan
Spadł i dwudziestu ludzi z nóg zwalił...
— Ha, trudno! „Wielki“ Kraków! i przeto
I twój kapelusz modny kobieto,
Powinien wielki być jak barbakan,
Chociażby nawet bez panoramy!...
— Ale do rzeczy! Tam więc podlotek
Z „Dziejami grzechu“, tu cię znów spłakan
Jak bóbr chłopczyna, co pokryjomu
Kopał jak w piłkę nogami w błoto
I za to klapsa dostał od mamy,
Na zakończenie kopnął w nagniotek, —
A nim się miałeś czas zgniewać o to
I pełen wrażeń wrócić do domu,
Dwa przejechały cię motocykle
I automobil.
— Dawniej na balu
U Rosenstocka a i to zwykle
Aż gdzieś nad ranem mogłeś wziąć w kark,
A po najmniejszy zwyczajny siniec,
Musiałeś gonić aż na Zwierzyniec:
— Teraz po jednej przechadzce wzdłuż
Bulwarów, albo pod który park
Wielkokrakowski, w pięć minut już
Stracisz ząb albo dwa od footbalu,
Rower cię strąci w przydrożny rów,
A zaś gumowiec od stóp do głów
Błotem cię secesyjnie ochlasta,
Co znaczy, żeś już jest w każdym calu
Obywatelem wielkiego miasta.

* * *

Jeno mi nie mów, że widmo nędzy
Grozi ci w wielkiem mieście! Nieładnie
Być takim zrzędą i śledziennikiem!
I dziś dojść może wnet do pieniędzy,
Kto kogo, dajmy na to, okradnie.
— Uważaj jednak, by dziwnym trafem,
Pożal się Boże, ten okradziony
Nie był (no, tobyś wlazł!) urzędnikiem!
Miałbyś nie tylko śmiertelny grzech
Ale i arcy-szelmowski pech
I nawetbyś się „pod telegrafem“
Na niesłychany naraził śmiech,

Że w takie głupstwo mogłeś aż zaleźć,
Żeś taki jeszcze ograniczony
I prócz ośmiorga dzieci i żony,
U urzędnika więcej chcesz znaleźć!...

* * *

Niech cię też zgoła nie smęci fakt,
Że okoliczne gminy dziś stracą
Swój sielski wygląd, że coraz rzadsze
Będą naprzykład poczciwe kury.
Na „Chanteclera“, na jeden akt
Przynajmniej pójdziesz, jeśli masz za co,
A ujrzysz cały kojec w teatrze
I przedewszystkiem koguta, który
Też wielkomiejski jest już, nie taki,
Jak te kołtuńskie, podmiejskie ptaki.
I będziesz brawo bił mu w obiedwie
Dłonie, szczęśliwy, że raz w rozsypkę
Poszło kołtuństwo ptasie, co ledwie
Może mieć pypcia, gdy ten ma — chrypkę
Z hymnów do słońca! Ach, bo nie banda
Ludzi, co już swych przeznaczeń końca
Dobiegła wreszcie, zła i przeklęta,
Może dziś śpiewać hymny do słońca,
Lecz... lecz... No, krótko mówiąc: — bydlęta!
I kur-pyszałek w guście Rostanda.

* * *

Dość tego chyba na dziś?! — A choć-em
Ten wzniosły pean nad wielkomiejskim
Zawiódł Krakowem, tak, żem Ujejskim
Zaczął go, pełen radosnej drżączki, —
— Niechaj mi wolno będzie już, proszę,
Skończyć okrzykiem szczęścia z Rodociem:
— „Mój mocny Boże! Co za rozkosze!
Co za rozkosze! Całuję rączki!!“...

Józef Wiśniowski.

Ballada plantacyjna.

Zapadła wiosenna księżycowa noc, zeszły z plant ostatnie pary miłosne; zdrzemnął się stróż bezpieczeństwa publicznego, gdy uderzyła godzina duchów, dwunasta.....

Bojan drgnął na piedestale, brząknął w swą spiżową lutnię, ziewnął, przeciągnął się i rzekł do malca wspartego o jego kolana:

Strasznie monotonny żywot prowadzimy tu mój chłopcze! Wprawdzie tramwaje nie tak blisko dzwonią mi nad uchem, odkąd mię tu przenieśli z pod kolei, miejsce ładne, ale mało cienia, w fontannie wody niema. Do licha z takimi wodociągami, w których woda jest tylko w zimie i w czasie wylewów, a jak gorąco, to podlewają trawniki cuchnącą wodą z Rudawy, aż z niej kataru dostałem. Przynajmniej nocą rosa nas orzeźwia. Cudna noc! — Skocz mi chłopcze do sąsiadów, Chopina, Grottgera i Mickiewicza, zaproś ich tu na wista — Lilla Weneda zagra nam na swej lutni.

Wrócił chłopak za chwilę i rzecze:

— Mickiewicza niema na postumencie — chodzi jak zwykle nocą po rozmaitych placach i narzeka, dlaczego go wszędzie gdzie indziej nie postawili, tylko między fiakrami i tramwajami na ogromnym Rynku, gdzie nikt na niego uwagi nie zwraca. Poszedł teraz do Kościuszki namówić go, aby zaprotestował przeciw stawianiu jego pomnika także na Rynku. Chopin powiedział, że przyjdzie, ale w karty grać nie będzie, tylko zaakompaniuje Lilli Wenedzie nokturna. Grottger idzie.

— Zaproś więc Fredrę z pod teatru i Zyblikiewicza z pod magistratu. Wrócił posłaniec z Fredrą, okazującym zadowolenie, że nie będzie przez chwilę przy tym teatrze, w którym nie bawią ni podnoszą ducha, lecz rozstrajają nerwy — ale Zyblikiewicz odmówił, bo strasznie zły — klnie na Radę miejską, że za dużo gada dla galeryi.

— Myślą założyć wodomierze przy wodociągach, rzekł Fredro — lepiejby założyli mowomierze w Radzie!

— Zbudź Litawora przy Grażynie, rzecze Bojan do posłańca.

— Ale i Litawor wymówił się, że woli zostać z Grażyną.

— Nie dziw — rzekł Fredro — zapomniałeś starcze siwobrody, że księżna piękna a Litawor młody!

— Więc biegnij po Jagiełłę.

— Daj pokój, rzecze Fredro, Jadwiga go nie puści; raz w życiu przegrał dwa tynfy do dworzanina, to mu Jadwiga krzyżykiem tak w kark dała, że się nie waży gry znowu próbować.

— Tam do licha! Więc nie znajdziemy „czwartego“ do wista?!

— Nie martw się ojcze, przerwał Grottger, zapomniałeś o Matejce, Rodakowskim, Księżarskim, mieszkających na tem pudle, które nazywają pałacem Sztuk Pięknych. Cały dzień z nimi nie mówię, bo odwracam głowę od tego pudła-sarkofagu, teraz więc pogwarzymy przy wiście.

— Ruszaj więc chłopcze i sprowadź zaraz którego!

Matejko poszedł jednak do katedry oglądać ceglate gęby Tetmayera w kaplicy Królowej Zofii, Rodakowskiego boli brzuch po oglądnięciu ostatniego „Salonu“; szczęściem Księżarski oświadczył się z gotowością do wista, bo na widok willi z wieżą przy rogatce Wolskiej postanowił nie oglądać więcej nowej architektury — ruszył więc w stronę Bojana „czwarty“ Księżarski — a wtem kur zapiał, skamienieli wszyscy partnerzy na postumentach i wist nie doszedł do skutku.

Klemens Bąkowski.

Modlitwa estety.

W wielu rzeczach świat poprostu
Jest podobny do loteryi:
Nie wybierasz swego wzrostu
Ani swojej peryferyi.

Tak byś wolał, czy inaczej,
Chcesz być cienki, chcesz być gruby,
Rośniesz jak ci traf przeznaczy
Prima vista, ot, bez próby.

Nim się dowiesz, co potrzeba
O proporcyi i o formie,
Spadasz na świat prosto z nieba
W gotowiutkim uniformie.

Jakie system ten ma skutki,
Co wyrasta z tego dalej,
Powiedzmy to bez ogródki
Widać choćby po tej sali:

Jednemu policzysz kości,
Na drugiego znów tak padło,
Że aż kapie od tłustości,
Gdzie pomacać samo sadło;

Jeden krzywą ma łopatkę,
Drugi, losów tajemnicą,
Tu i ówdzie wdał się w matkę
I chodzi z damską miednicą;

Ta gładziutka jest jak chłopak,
Druga znowu istna kukła,
Tamta wszystko ma na opak,
Tu jest wklęsła, tam wypukła —

Cały wyrób, bierz go czarci,
Ma fuszerki wszystkie cechy,
Widać — więcejśmy nie warci
Za paskudne nasze grzechy.

Głowy sobie Bóg nie suszy
Nad doczesnym naszym kształtem —
Dzieli po kawałku duszy
A resztę kropi ryczałtem;

Z byle gliny, choć z zakalcem,
Lepi Stwórca ludzki potwór,
Potem, od niechcenia, palcem
Machnie jeden, drugi otwór,

Zesztrychuje z góry na dół
Przyklepie cię po ciemieniu,
I marsz na ten ziemski padół
Służyć swemu przeznaczeniu.

Miły Boże! uważ przecie,
W swej dobroci nieslychanej,
Toż my żyjem dziś na świecie
W wieku Sztuki Stosowanej!

Dziś, gdy cały świat ocenia
Artystycznej wagę formy,
Stan ten jest nie do zniesienia
I wprost krzyczy o reformy!

Lada mebel dziś nam składa
Skończony — panie! — artysta
A ten, który na nim siada
Wygląda — ironia czysta!

To nam w końcu życie zbrzydzi;
Dziś, człowiek dobrego tonu
Czasem się poprostu wstydzi
Wejść do własnego salonu!

Toż tam przecie siedzą w niebie
Rafaele czy Van Dycki,
Możnaby złożyć w potrzebie
Mały kursik estetyki...

Prosimy więc, dobry Boże,
Więcej smaku, więcej gracyi,
I, w twym ludzkim arcytworze,
Bogdaj trochę stylizacyi;

Podnosim modły pokorne
Niechaj twoja ręka szczodra
W linie wężowo-wytworne
Kreśli niewiast naszych biodra,

Niechaj matron naszych biusty,
Polskiego domu dostatek,
Zamiast kształtów glory tłustej
Będą jako lilii płatek,

A cnota dziewic niewinnych,
O spraw to panie nad pany,
Niech ma, zamiast wszystkich innych,
Zapach esencyi różanej.

Boy.

KRONIKA.

— **Z niedzieli.** Dzisiejsza niedziela była niezwykle piękna; po czystym błękicie raz wraz przepływały srebrne obłoczki. Wczas rano żywy świegot wróbli i ochocze pianie kogutów na przedmieściach zwiastowały dzień pogodny. W kościołach dzwoniono na ranne nabożeństwa. Urocze nasze panie i panny przechadzały się już przed południem tłumnie po plantacyach w towarzystwie matek, ojców, braci i... szczęśliwych narzeczonych. Wiele osób usiadało na ławkach. Panny i młode wdówki rysowały parasolkami na piasku tajemnicze hieroglify, ciągnące ku sobie płomienny wzrok mężczyzn, pragnących ujrzeć narysowaną jedną tylko, a tak wymowną literę: »K«. Dziatwa z miłym hałasem bawiła się w zakolach plantacyjnych przed kościołem OO. Kapucynów, naprzeciw ruskiej cerkwi i wprost hotelu krakowskiego; znacznie mniejsza liczba harcowała w kółku pod Zamkiem. W godzinach południowych wiele publiczności poszło do domów na

obiad; ulice i plantacye opustoszały; jedynie w bufecie u Hawełki panował natłok niesłychany.

Po południu już o godz. 3 zaczęła strojna publiczność pojawiać się na plantacyach, stanowiących jakby czarodziejskie »foyer« udekorowane zielenią; panie i panny wydawały się jeszcze piękniejsze niż przed południem, może dzięki poprawie humoru po smacznym obiedzie. Niektóre zmieniły suknie na lżejsze i jaśniejsze, ażury na bardziej przejrzyste i interesujące. Wiele osób wśród ożywionej rozmowy siadało na ławkach; młodzi panowie przeważnie stali, oparci na laskach. Licznie też były zajęte stoliki w kawiarniach letnich na plantacyach. Nadto nieprzeliczone tysiące udały się do Parku Jordana na festyn na dochód kolonii wakacyjnych dla uczniów szkół średnich. (Sprawozdanie telefoniczne z festynu w rubryce »Ostatnie wiadomości«) Oprócz tego wiele osób powędrowało na Błonia i Wolę Justowską. Licznym rodzinom oraz samotnym wycieczkowiczom towarzyszyły psy; niektóre prowadzono na smyczach, inne biegały swobodnie, radośnie poszczekując. Wiele towarzystw pojechało również koleją do Rudawy, Czatkowic, uroczej Czerny; niektórzy panowie zabrali z sobą parasole. Wieczorem teatry były pełne. Nocą księżyc płynął nad miastem niby łódź srebrna i rzucał jasne blaski na szczyty wież Maryackich, dachy domu p. Czynciela, oraz Sukiennic. Miasto się wyludniało, ulice pustoszały. Nieopisany ścisk panował tylko do bardzo późnej godziny w bufecie u Hawełki.

— **Z powodu braku wody** magistrat w dalszem rozporządzeniu, rozlepionem na rogach ulic, oraz beczkowozach miejskich, ogranicza ilość trzech godzin na dobę, w których woda mogła być pobierana, do jednej godziny, tj. od godz. 6—7 rano; zezwala piwiarniom na całym obszarze „Wielkiego“ Krakowa na wyszynk tego wybornie zastępującego wodę trunku przez całą noc; aby zapobiedz demoralizującej agitacyi przeciw powyższemu rozporządzeniu, zarządza w telegraficzno-telefonicznem porozumieniu z władzą policyjną i sądową natychmiastowe aresztowanie całego wydziału Tow. Eleuteryi, wszystkich zaś jego członków i członkiń (!!!!) w przeciągu najbliższych 8 dni; wnosi telegraficzną prośbę do ministerstwa wojny, aby poleciło tutejszej komendzie korpusu wydanie rozkazu pułkowi artyleryi do wyruszenia z armatami na Błonia i strzelania w górę, celem poruszenia atmosfery i sprowadzenia nad Kraków tak pożądanych dla zbiorników bielańskich chmur deszczowych; zakazuje pod wysokiemi grzywnami, w porozumieniu z miejskim urzędem zdrowia, od godziny 7 rano do 6 rano dnia następnego wszelkich zemdleń, przy których potrzeba zimnej wody, dozwalając na nie tylko mieszkańcom placu Groble, ulicy Retoryka i sąsiednich, jako mającym w pobliżu wodę wprawdzie w porze letniej nie zimną, ale mokrą, co ze strony odnośnych czynników zostało urzędownie stwierdzone. Istniejące dotąd studnie, mają być pod karą 1000 koron, nałożoną na właściciela realności, do dni trzech bezwarunkowo zasypane.

— **Roosevelt w Krakowie.** Roosevelt zapowiedział przyjazd do Krakowa. Znakomity amerykański mąż stanu wygłosi w auli Uniwersytetu Jagiell. wstępny artykuł w Nrze 3 *Żywego dziennika* p. t. „Zadania autonomii i prawa mniejszości“. Ceny wstępu, analogiczne do cen, naznaczonych na wzlot Hieronymusa, będą w dniu prelekcyi podwojone.

— **Groźny orkan** szalał wczoraj przez 15 minut nad naszem miastem. Około godz. 4 popołudniu ściemniło się tak, że w lokalach publicznych i mieszkaniach musiano zapalić światło. Niebo pokryło się czarnym całunem. Równocześnie z pierwszemi kroplami deszczu zabuczał orkan, uderzając w ulice z ogromnym impetem, niosąc wysoko chmury kurzu, zrywając z piekielnym hałasem szyldy i wywieszki, tłukąc okna. Wśród ryku burzy w pobliżu Wawelu dała się słyszeć potężna detonacya. Po wypogodzeniu się horyzontu pierwsi przechodnie w ul. Grodzkiej przekonali się, że orkan zwalił zmurszałe budynki przy kościele św. Idziego. Ze szczerym żalem notujemy tę pierwszorzędnej doniosłości dla »starego Krakowa« stratę i ubytek. Ze zniknięciem domów przy kościele św. Idziego przestał istnieć jeden z najbardziej godnych widzenia zabytków w naszem mieście.

— **Z teatru miejskiego.** Najbliższą nowością wesołego repertuaru będzie 3-aktowa komedya p. t *Jeszcze na kwaterze*. Niezwykle utalentowany autor granej w ubiegłym sezonie komedyi *Na kwaterze* w najnowszym swym utworze z tym samym lekkim, swawolnym, a pozbawionym trywialności i pikanteryi dowcipem rozwija temat poprzedniej komedyi w dalszym ciągu. Komedya wejdzie na afisz w najbliższą sobotę i będzie graną przez cały tydzień dwa razy każdego dnia: o godz. 3 popoł. dla pensyonatów żeńskich i studenckich internatów po cenach popularnych i o godz. 7 i pół wieczorem po cenach zwykłych.

— **Z teatru ludowego w Parku krakowskim.** Dzisiaj po raz 75 *Za Oceanem* z p. J. Brzozowską; jutro po raz 37 *Lalka* z p. J. Brzozowską; pojutrze po raz 58 *Jadzia do wszystkiego* z p. J. Brzozowską; następnie *Figle wiosenne* bez p. J. Brzozowskiej (po raz 148). W dalszym ciągu reprezentacyj poważnych utworów nieznanych dotychczas pisarzy, wśród których patryotyczno-ludowo-nastrojowo-symboliczny dramat *Zmartwychwstanie* wywołał tak niebywały entuzyazm zwłaszcza w prasie — przygotowuje dyrekcya do przedstawienia przy ulicy Rajskiej pełen niepospolitych zalet, ponury 8 aktowy dramat p. Bonawentury Matoła p. t. *Zatracenie.* W wykonaniu sztuki weźmie udział cały personal; początek o godzinie 8 wieczór, koniec o godz. 3 rano. Niebawem przystąpi dyrekcya do wystawienia szeregu dalszych rodzimych dramatów. Z liczby 27 zakwalifikowanych do grania, 26 przysporzyło ojczystej scenie niezmordowane pióro kobiece.

— **„Wzlot“ na rynku.** Wczorajszy orkan porwał w powietrze jednę z młodych artystek malarek p. X., gdy przechodziła około kościoła N. P. Maryi i z szyb-

kością 90 klm. na godzinę niósł ją na wysokości 3 metrów aż do wylotu ul. Siennej. Wzlot nastąpił dzięki szerokim rondom kapelusza, na których niby na skrzydłach Bleriotowskiego latawca uniosła się subtelna postać artystki. Przebywała ona w powietrzu podobno 4 m. $^{83}/_{100}$ sek. wylądowała gładko, lubo nieco boleśnie w położeniu poziomem pod murem szarej kamienicy. Kapelusz-aeroplan ma być nabyty przez Muzeum techniczno-przemysłowe, przedtem będzie do widzenia na wystawie budowlanej (Straszewskiego, 28).

— **Żywą kaczkę** przyniesiono do naszej redakcyi. Okaz ten, niezmiernie ciekawy, bo mający trzy nogi (trzecia maleńka, w stanie niewykształconym i bez pletw między palcami) pochodzi z dóbr Zielona Wola należących do stałego naszego prenumeratora i członka stronnictwa p. Mociumdziejskiego. Kaczkę pielęgnować będzie stale redakcya w basenie pełnym wody. Niezwykły ten okaz będzie do oglądania tylko dla prenumeratorów naszego dziennika w godzinach po redakcyjnych.

— **Koło Panien**, opiekujących się młodymi ludźmi, nie mogącymi wstąpić w stan małżeński z powodu braku środków na ukończenie studyów, w najbliższą niedzielę zbierać będzie łaskawe datki przy stolikach, ustawionych w Rynku, na plantacyach i głównych punktach miasta. Komitet przekonawszy się, iż wiele osób uchyla się od tego społecznego obowiązku, przejeżdżając w zagrożonych punktach w dorożkach i tramwajach, podaje do wiadomości, że oprócz stolików, panny komitetowe funkcyonować będą w wozach tramwajowych celem czynnej interwencyi przy wydawaniu reszty przez konduktorów na rzecz tak bardzo dla siebie sympatycznego celu.

— **Ofiara melomana**. Dziś o godz. 6 rano znaleziono w zwierzyńcu w Parku krakowskim ślicznego pawia z poderżniętem gardłem — jedyny zresztą okaz tego gatunku w tej niesłychanie urozmaiconej menażeryi. Wezwane na miejsce pogotowie ratunkowe mimo zastosowania odpowiednich środków, nie zdołało wspaniałego ptaka przywrócić do życia. Dochodzenia policyjne, przedsięwzięte natychmiast ze zdumiewającą sprężystością przez inspektorów pp. N., M., O. i K. wykazały, że paw padł od scyzoryka jednego z bywalców operetki w Parku krakowskim, p. W., rozdrażnionego do najwyższego stopnia jego wrzaskami podczas produkcyj wokalnych. Paw dawał się słyszeć szczególnie w operetce *Jadzia do wszystkiego*. Sprawcę skazano na wysokie odszkodowanie, które ma wypłacić właścicielowi zwierzyńca. Jak słychać, kwotę tę wróci mu natychmiast dyrekcya operetki w Parku krakowskim.

— **Przedłużenie linii kolei elektrycznej**. Wedle zasiągniętych w dotyczących sekcyach Rady miejskiej informacyj, przedłużenie toru tramwajowego do klasztoru Norbertanek, na cmentarz rakowicki i do szkoły kadeckiej w Łobzowie zostanie urzeczywistnione już w roku 1925. W tym także roku nastąpi wybrukowanie Rynku, oraz odsłonięcie pomnika Kościuszki.

— **„Wolna kobieta"**, dwutygodnik poświęcony emancypacyi kobiet zawiera w numerze ostatnim treść następującą: Przyszłość kobiety, jako męża stanu; kobieta-poseł; kobieta-prezydent miasta; kobieta konny-policyant. Kronika z życia kobiecego: czworaczki, trojaczki, bliźnięta; recenzye i sprawozdania z dzieł; odpowiedzi od redakcyi: »niecierpliwej«, »zdenerwowanej na wiosnę«, »anemicznej«, »bezsennej w noce księżycowe«. Sporty kobiece, ogłoszenia.

— **Statystyka pogotowia**. W ciągu ostatnich 84 godzin interweniowało pogotowie 921 razy w wypadkach chirurgicznych; pokaleczeń lżejszych i cięższych wśród małżeństw legalnych było 719, wśród małżeństw dzikich 153, wszystko na tle alkoholicznem; 16 zajść na weselach, 3 niedoszłe samobójstwa: w Wiśle, na strychu i u »przyjaciółki«, resztę stanowią wypadki lżejsze: ukłucia i zranienia w palec, oraz stłuczenia kolana, przedudzia i nadudzia.

Edmund Zechenter.

O niesłychanym rozwoju muzyki u nas.

Działu mojego w dzisiejszym dzienniku każdy mógłby mi pozazdrościć. Czysta prawda i tylko taka jest w moim skromnym referacie jednym wielkim snopem światła.

Żył nasz ukochany Kraków pod hasłami i znakami kanałów, wodociągów, gruntów pofortyfikacyjnych i t. p.; obecnie — śmiało twierdzić możemy — żyje on pod znakiem muzyki.

Muzyka stała się potrzebą naszego życia.

Najnowsze statystyczne obliczenia wykazują, że na $5^{16}/_{17}$ mieszkańców naszego miasta przypada jeden nauczyciel albo nauczycielka muzyki.

W pracy tej narodowej króluje fortepian.

Dzięki też instrumentowi temu, pozostaną stosunki nasze z Niemcami jak najlepszymi, pomimo wszelkich intryg ze strony dziennikarstwa i „Straży polskiej".

Jeżeli myśliciele niemieccy zadecydowali, że w kampanii z Francyą zwyciężył niemiecki „Schullehrer", to w kampanii z nami zatyka nieustannie zwycięskie sztandary po całej Polsce — niemiecki fortepian. Brzęczy on w suterenach i na poddaszu, a na tym prostopadłym diapazonie rozpina mieszkaniec naszego grodą swoją ochotę, znojną żałość i pociechę dla pragnących spać.

W nauczycielstwie, propagującym kult dla fortepianu, dominuje kobieta. Fortepian rozwiązał zatem dwa najtrudniejsze problemy: wyzwolenie kobiety przez zdobycie olbrzymiego pola działania — i trudną nad wyraz kwestyę opieki i troskliwości o ucznia, która wobec szczęśliwego stosunku liczebnego uczniów do nauczycieli, nie potrzebuje ani kontroli, ani zachęty.

Mieszkaniec naszego grodu zaznajamia się z fortepianem zwykle już w szóstym roku życia, z początku pod kierunkiem babci, poczem kształci

się u tych nauczycieli, którzy czerpali wiedzę w instytutach, położonych między Skawiną a Wadowicami, a potem zostaje już artystą. Mieszkaniec naszego grodu prowadzi jednak poufałość z fortepianem, pod kierunkiem miejscowych mistrzów, nieraz aż do późnych lat, a dotyczy to szczególnie tej części płci pięknej, która przenosi zadanie Westalki fortepianu nad ślubny kobierzec.

Jak już wspomniałem, wszyscy kształcą się u nas na artystów. Jest to wspaniały objaw. Wprawdzie ciasna i krótkowidząca krytyka podnosi, że na 58.888 grających na fortepianie, niema nikogo, ktoby umiał zaakompaniować lub zagrać do tańca, ale my dawno przywykliśmy przechodzić nad podobnymi głosami do porządku dziennego.

Wszyscy nauczyciele i nauczycielki żyją we wzorowej zgodzie, kształcą się nawzajem u siebie, popierają się, popierani również gorąco przez społeczeństwo, przez właścicieli domów i urzędy podatkowe.

Olbrzymi eksport artystów naszych za granicę rozpoczął się z chwilą, kiedy Kraków przystąpił do międzynarodowego związku popierania niemieckich agentur koncertowych w Berlinie.

Idąc za przykładem Parany, Nicaraguy i przylądka Horn, dążą artyści nasi po stempel do Berlina, gdzie po zainkasowaniu taksy, — przyjmują ich z otwartemi ramiony i posuwają życzliwość względem naszych tak daleko, że pozwalają nawet, po opłaceniu kosztów, zupełnie nie grać.

Wprawdzie prasa hakatystyczna i publiczność nie chcą słuchać tych atletycznych zapasów, ale zato z listów prywatnych dowiadujemy się, że artystka lub artysta przeszli samych siebie, co po powrocie do ukochanego grodu, zawsze zgodnie to potwierdzają.

Dzienniki nasze podają najdokładniej wiadomości o tych wyjątkowych sukcesach, pod znanym tytułem „Nasi zagranicą“.

Tam to dowiadujemy się, że „artystka po nadzwyczajnem powodzeniu, udaje się z koncertami na północ“, z czego my z łatwością wnioskujemy, że powodzenie to musiało mieć miejsce na południu.

Albo też czytamy: „Artysta nasz otrzymał w Berlinie liczne „engagement“ na koncertowe „tournés“ — rozpoczyna takowe już w przyszłym tygodniu wzdłuż linii kolei transwersalnej w Galicyi“.

Nie brak też opisów szczególnych, jak np. „Na koncercie artystki naszej w Paryżu, zebrała się wcale licznie polska kolonia; widzieliśmy również i panie z poselstwa brazylijskiego, był i ambasador Siamu, a jest nim rodak nasz pan Kuciapski, który długi czas mieszkał w Siamie. Słynny impresario Astruc, zaangażował artystkę naszą na szereg koncertów do Madagaskaru“.

Zdobywamy świat!! Ale spytajmy, czy ten niesłychany popyt za naszymi artystami, nie sprowadzi wprost wyludnienia naszego ukochanego grodu? Nigdy! — Kawior astrachański zdrożeje, ale nasza Niwa muzyczna wystarczy dla nas i dla obcych! Boć przecie na tem nie koniec.

Równie na polu choralnem mamy do zanotowania niezwykły rozwój. Liczne zespoły uprawiają ten rodzaj muzyki, po całodziennych trudach często późno w nocy. Ci biedacy, a zarazem apostołowie zaniedbanej, a tak pięknej gałęzi sztuki, zmuszeni są ćwiczyć i doskonalić się wprost na ulicy. Nikt im nie przyjdzie z pomocą, z wyjątkiem c. k. policyi — a która, podnoszę to ze szczególnem uznaniem, udziela im od czasu do czasu bezpłatnie sali prób pod telegrafem.

A na polu symfonizmu, cóż za imponujący ruch!

Mamy sześć orkiestr wojskowych, ośm orkiestr szkolnych, orkiestrę kolejarzy, dorożkarzy, harmonię, orkiestrę towarzystwa muzycznego, a obecnie organizuje się orkiestra chrześcijańskich kucharek.

Ale nie dość na tem — albowiem ewidencya i inicyatywa, to najwybitniejsze cechy Krakowianina. Oto powstała myśl stworzenia orkiestry symfonicznej na wielką skalę, bez żadnych kosztów.

Należy bowiem wprowadzić powoli postulat, aby urzędnicy publiczni grali na jakimkolwiek instrumencie. — Zatem, co kraj posiada najinteligentniejszego, zasiądzie do pulpitów, a jakże oni będą mogli wspaniale się zgrać w ciągu czterdziestoletniej służby!

Jedyne trudności byłyby — że naczelnikom należałoby oddać bezwarunkowo pierwsze skrzypce, ale wobec potężnego ruchu demokratycznego i dążenia do zupełnej równości, upadnie wstrętna hierarchia orkiestralna, a trąby i fujary zdobędą należne stanowisko.

Pobieżny choćby obraz ruchu muzycznego u nas dowodzi nie tylko naszej wrodzonej muzykalności, ale i pomyślnego stanu materyalnego. Nie dość, że łożymy szczodrze na rodzimą muzykę, ale wspieramy hojnie artystów obcych — a posuwamy dobroć i delikatność względem nich do ostatecznych granic. W komunikatach bowiem o ich występach czytamy, że tylko uproszeni i dzięki szczęśliwemu trafowi zostali pozyskani dla nas. Artyści są tem rozczuleni, temu też zawdzięczamy, że ich koncerta odbywają się „en gros“ — że porzucają oni najkorzystniejsze oferty amerykańskie, afrykańskie i australskie i grają u nas po kilka razy, bez szczęśliwego trafu, bez próśb i nalegań. Pozyskaliśmy zatem nie tylko ich talent, ale stałość i przywiązanie. Dzięki na

szym subwencyom mogą jedni łatać liczne dziury, jakie miłość do sztuki wygryzła w ich egzystencyi, drudzy, złapać obfitszy grosz, jakiego im coraz więcej skąpił świat zmateryalizowany.

Naszą twórczość muzyczną zmuszony jestem dotknąć bardzo pobieżnie, albowiem szereg odczytów zdołałby zaledwie wyczerpać bogaty przedmiot. Więc wspomnę tylko, że odkąd c. k. ministerstwo oświaty podniosło sumę wiadomości muzycznych do oficyalnej godności doktoratu, przeszły po wszystkich wielkich mistrzach Austryi, spoczywających w grobie, ciarki. Nie dziwmy się zatem, że poszła w niwecz twórczość Moniuszki, Noskowskiego — a tem bardziej żyjącego Żeleńskiego — ale twórczość najnowsza ma tę wielką zasługę, że wyperswadowała nam naszą banalną, małomieszczańską tęsknotę za melodyą, jasnością i prostotą, że wydała cały szereg „Chopinów“, że wprowadziła słowo „genialny“, zamiast dawnego, oklepanego „panie dobrodzieju“ albo „panie mpeiu“ — a co głównie, że ona to pozwala odsłonić bez względu na zmienność klimatu wszystkie powaby „nagiej duszy“.

Obraz ten zakończę krótkim opisem jubileuszowych uroczystości stuletniej rocznicy urodzin naszego nieśmiertelnego Chopina. Obchody jubileuszowe i pogrzeby pozostaną naszą wyłączną specyalnością, której nikomu wydrzeć sobie nie pozwolimy.

Od jednorocznego do tysiącletniego jubileuszu umiemy dla każdego zachować miarę, stosowny nastrój, odpowiednią różnicę zdań i należytą żywość polemiki. Cokolwiek o tych jubileuszach potomność powie, to jedno jest pewnem, że ani one, ani też wielkie pogrzeby, nie przyniosły nigdy szkody — propinacyi. W jubileuszu największego mistrza tonów, obraliśmy drogę na wskróś oryginalną. Zamiast zgiełku i hałasu, uczciliśmy Jego tak, jak kochające dzieci, które zamiast słów, mają dla ukochanego ojca łzę miłości w oku. Wzniosłe i wymowne milczenie stało się w dniu tym uroczystym powszechnem „hasłem“.

Nigdy jeszcze społeczeństwo nasze nie stanęło tak zgodnie do apelu — i minął ten dzień wśród pozornie zwykłych zajęć. Dopiero ku wieczorowi ukazała się mała chmurka, bo oto dzielny wprawdzie, ale nieproszony młody artysta, miał zamiar wykonaniem arcydzieł przypomnieć nam Chopina, ale decydujące czynniki sprzeciwiły się temu stanowczo dla uniknięcia fałszywej nuty, bo kiedyż łatwiej o nią, jak nie wtedy, kiedy się gra. Równocześnie przybyły z Wiednia dygnitarz, udał się prosto z dworca nad brzegi Rudawy. Jest podobno zamiar, jeżeli żegluga na tej rzece się rozwinie, w co nikt nie wątpi, nazwać port główny, portem Chopina! Żeby jednak i potrzebom propinacyi stało się zadość, urządzona zostanie w miesiącu czerwcu olbrzymia zbiorowa majówka do uroczej Skały Kmity, gdzie uproszeni cytrzyści i mandoliniści wykonają szereg pieśni tyrolskich.

Franciszek Bylicki.

Sprawy sądowe.

Lakoniczny świadek.

Na muzyce w karczmie dał Jan Piotrowi w twarz, a Piotr dał Janowi policzek, poczem obaj wnieśli skargi o obrazę czci. Ponieważ przy rozprawie Jan twierdził, że on nie tknął Piotra, tylko Piotr palnął go w fizyonomią, a Piotr znowu zarzucił, że broń Boże nie uderzył Jana, lecz Jan jego — przeto sędzia musiał przystąpić do przesłuchania świadków.

Pierwszy świadek, przywołany przez Piotra Michał Łapka, nieco głuchy, podaje, że jest żonaty, katolik, ma troje dzieci.

— Czworo! Nieprawdę gada, przerwał oskarżony Jan, sądzący, że musi wszystkiemu przeczyć, co powie świadek powołany przez przeciwnika.

— Jakto czworo? przecie troje, Antek, Jagna i Maryna.

— A Kaśka?

— To już wydana, to się nie liczy.

— Zatem ojciec czworga dzieci — dyktował do protokołu, sędzia. — Czem się trudnicie?

— Sekundant.

— Co? co? jaki sekundant?

— No, sekundant, jak zwykle.

— Skrzypek panie sędzio — wtrącił Jan.

— Nie żaden skrzypek ino sekundant — bronił się Łapka — skrzypek gra prym, a ja gram sekundę.

— No, no, więc muzykant. Ile lat macie?

— A bo ja wiem.

— To któż ma wiedzieć?! Mniej więcej dwadzieścia, ośmdziesiąt.

— E! Skądby ta ośmdziesiąt, będzie może pięćdziesiat.

— Nie jesteście krewni Jana ani Piotra?

— Będę ta jakiś swok, ale daleki.

— Jakiż to? Cóż on do was przychodzi?

— Matka Jana i ojciec Piotra to sobie przychodzili jako kumotrowie, a mój ujek to był szwagier brata żony Piotrowego ojca...

— Zeznajcie szczerą prawdę, jak to było na muzyce, kiedy Jan z Piotrem się powadzili.

— To było tak. Przychodzi do mnie Franek i powiada: wiele chcecie za obegranie panny młodej i za granie na weselu. A ja powiadam: ile będzie ludzi? — Bo trzeba panu sędziemu wiedzieć, że jak dużo ludzi, to dużo szóstek do basów nawrzucają...

— Krótko mój człowieku opowiedz o tem, jak się pobili.

— Zaroz panie sędzio. A wtem nadchodzi kmoter i powiada: dzień dobry kumie, a ja mu mówię dzień dobry kumie...

— Gadajcie o bitce, a nie o kumotrze. To do rzeczy nie należy!

— Zaroz panie sędzio. Jak ja mu powiedziałem dziń dobry ku...

— Krótko węzłowato gadajcie, czyście widzieli bitkę czy nie?

— Zaroz panie sędzio. Wtedy kmoter powiada: jutro Frankowe wesele. A ja powiadam: toli wiem, że jutro wesele, a Jasiek z Mackiem drużbują.

— Nie Maciek, ino Stach był drużbą — przerwał Jan.

— Kumoter mówili, że będzie Maciek. Ja mówię jak prawda, bo w sądzie to jak na spowiedzi, trzeba prawdę gadać.

— Tak jest! przerwał zniecierpliwiony sędzia, gadajcie więc prawdę, jak się bili!

— Zaroz panie sędzio. A na to, jak my tak z kumotrem mówili, przyszedł Ignac, ten co to łońskiego roku kupil kobyłę od Franka...

— Gadaj do djabła krótko, czyś widział bitkę czy nie?

— Widziałem, widziałem, zaraz opowiem panie sędzio. Ten Ignac przywitał się po chrześcijańsku z nami...

— Dajże u djabła pokój z tymi Frankami i Ignacami, a gadaj o bitce. Grałeś na weselu?

— Sekundowałem panie sędzio.

— No dobrze. Któż i o co zaczął bitkę? Czy Jan uderzył Piotra? A Piotr czy uderzył Jana?

— Zaroz panie sędzio. To tak było: myśmy siedzieli na przypiecku, ot — tak jakby tu, gdzie Jan stoi — a szynkwas był jakby tu, gdzie Piotr stoi. Jak się goście zaczęli schodzić, to Mosiek powiada: posuńcie się na lewo...

— To niema nic do sprawy! Gadaj krótko, jak było z tą bitką!

— Zaroz panie sędzio, już gadam. Myśmy się posunęli na lewo...

— Nie prawda, bo na prawo! — przerwał Jan.

— Na lewo, niech Jan poświadczy.

— Na prawo, odparł Jan.

— Cicho! — krzyknął sędzia zirytowany i chwytając za rękaw świadka krzyknął mu w ucho:

— Gadaj głupcze krótko i węzłowato, kto kogo jak bił, a nie coście gadali i robili, to mnie nic nie obchodzi. Gadaj w dwóch słowach, kto kogo bił, rozumiesz, krótko! krótko!

Łapka namyślił się i rzekł:

— Dał w pysk, wziął w pysk — jak krótko to krótko!

Klemens Bąkowski.

„NADESŁANE“.

Kreska gruba i cienkich trzy, a bardzo czarnych,
Dzieli wieści od reszty stek powszednich, marnych
I często o wartości błahej, podejrzanej...
Oto zwykła rubryka, zwana „Nadesłane“.
Lubią ją, bowiem ona między wiersze, skrycie
Przypomina, co niesie nam codzienne życie...

* * *

Więc tu cuda na rozkaz, tylko dla idei (!),
A doznasz ich, gdy poślesz w markach pół gwinei;
Tam na dłoni ci włosy wyrosną odrazu,
To złoto możesz sklecić li z świetlnego gazu,
Nieboszczyków powskrzeszać, żywych uszczęśliwić,
Z niczego zrobić wszystko, oś bieguna skrzywić,
Lub wymową prześcignąć wszych Demostenesów,
A na rozum pigułki mieć (bez aloesu).

* * *

Tu pies zginał, śpiewa słoń, tam znów zaręczyny,
Samochód, co starczy mu na rok litr benzyny
(A choć nowy, tańszym jest niźli używany),
Tu dla młodych matek znów środek zachwalany,
Sekret jak otrzymać rad z bzu, podeszwy, gliny,
Tam adwokat biuro ma, tu znów ślub i chrzciny,
Pigułki czyszczące krew, kawior nie na slono,
Tu wezwanie: „Wróć, ach, wróć do mnie słodka [żono“;
Albo ojciec głosi: „ja za syna nie płacę“,
To znów pyrotechnik nasz ogłasza swe race
(Mimo to pogoda jest ładna zapeniona)
Za mąż wyjść chce bogata, młoda, piękna donna,
Bezboleśnie dentysta zęby ci wyjmuje,
Tam się panny z maszyną na stancyę przyjmuje,
Zaś w Monaco majątek robi się ze zera,
Sprowadziwszy broszurkę tylko, et cetera. .
. . . .

* * *

Te i takie, i różne inne, tym podobne,
Czernią się w „Nadesłanem“ frazesy ozdobne,
Zmierzając do jednego wszystkie stale celu.
Czyż życiowych nie noszą w sobie znamion wielu?
Czyli nie są obrazem tej codziennej doli
Ludzi, co z nich niejeden mamionym być woli,
I woli żyć ułudy marą i nadzieją,
Niepomny, że już jutro sny te się rozwieją?!...

* * *

Ot, zawsze na pamiątkę jedno mu zostanie,
A wolne od podatku, to: rozczarowanie.
Więc w nagłówku czytamy stale dla pewności:
„Redakcya nie bierze odpowiedzialno- [ści“...

St. Stępiński.

Ostatnie wiadomości.

FESTYN

(Telefonem)

Park Jordana (godz. 3). Festyn rozpoczął się świetnie. 300 stolików z fantami w oblężeniu. Funkcyonuje 15 prześlicznych wróżbiarek w strojach cygańskich. Sześć orkiestr gra melodye narodowe; publiczność z zapałem oklaskuje szczególniej „Cake walka“. Pokup na *Chwilę*, jak na początek, wyborny. Z nakładu 50.000 egzemplarzy rozchwytano już trzecią część. Publiczności około 20.000, lecz na drodze od Krakowa jeszcze całe rzesze dążą pieszo, dorożkami, tramwajami i samochodami na festyn.

Park Jordana (godz. $3^1/_2$). Powodzenie festynu niebywałe. Fanty na rzecz kolonii dla uczniów szkół średnich wysprzedane co do jednego. Koła i kosze szczęścia przestały funkcyonować. Młodzież męska i żeńska bawi się ochoczo w „pocztę“. Coraz większe ma też powodzenie „telegraf bez drutu“ na ławkach i przy stolikach w mleczarni. *Chwili* rozkupiono już 40.000 egzemplarzy. Sześć orkiestr gra dalej na nutę narodową. Melodyę do słów: „Pójdź, pójdź mała kotko“ śpiewają na głos niezwykle rozochoceni starsi panowie. Publiczności jest przeszło 60.000.

Park Jordana (godz. 4). Najstarsi nie pamiętają tak imponującego „festivalu“. Ludzie nieznający się, zachwyceni wprost nadprzyrodzonem powodzeniem zabawy na szlachetny cel, rzucają się sobie w objęcia. Starsze panie płaczą z rozczulenia. Młodzież gimnazyalna, wśród której wielu jest przyszłych kolonistów, utworzyła siódmą orkiestrę, złożoną z 50 mandolin. Orkiestra ta odegrała już wszystkie melodye z *Posłańca 6666 Chwili* już na stolikach bardzo mało. Publiczności około 90.000 osób.

Park Jordana (godz. $4^1/_2$). Ostatni numer *Chwili* sprzedany. Napłynęło około 10.000 publiczności, która była na matchu „Cracovii“ z klubem „Teremtete-fereke-tetetes“. Ogromne powodzenie ma „telegraf bez drutu“.

Park Jordana (godz. 5). Publiczność świeżo przybyła domaga się gwałtownie przy stolikach egzemplarzy *Chwili* P. p. komitetowi, zwłaszcza zaś panie, uspokajają pałających żądzą kupna.

Park Jordana (godz $5^1/_4$). Komitet się łudził, że uspokoi publiczność. Coraz natarczywsze domagania się *Chwili* nie ustają. Sytuacya dochodzi do punktu naprawdę groźnego: setki osób, nie mogących już nabyć *Chwili*, przetrząsają park, szukając wydawców niezwykłej jednodniówki. Wielu zapalczywych mężczyzn odgraża się im natychmiastowym *lynchem*. Słuszne oburzenie wywołuje śmiesznie mały nakład *Chwili*: 50.000 egzemplarzy. Niektórzy wołają, że jestto rękawica rzucona krakowskiej publiczności, znanej z zamiłowania do kupna nowych wydawnictw i książek.

Park Jordana (godz. $5^1/_2$). Położenie w całem słowa znaczeniu rozpaczliwe: rozlew krwi prawie pewny. Już wytropiono dwóch p. p. komitetowych, wydawców *Chwili*; siedzieli, dzwoniąc zębami, w krzakach za Elżbietą Drużbacką. Jednemu, chcąc go schwytać, urwano połę surduta, drugiemu zdarto kapelusz. W tej chwili obaj uciekają.

Park Jordana (w $^1/_2$ minuty później). Nieszczęśni wydawcy ratowali się wprost bohaterską ucieczką. Z lekkością młodych słoni rwali przez trawniki, sadzili susy przez klomby, przelatywali ponad krzewami, odbijając się od ziemi, jakby od elastycznej tramboliny. Ostatnim skokiem przesadzili Rudawę. W pogoni runął do wody tłum zażartych napastników. Żaden z nich jednak tej przyrodzonej lekkości, co uciekający, nie posiadając, Rudawy nie tylko nie przeskoczył, lecz nawet nie przeszedł. Chłodna kąpiel podziałała bądź co bądź uspokajająco na niedoszłych czytelników *Chwili:* zdali sobie sprawę, że zlynchowaniem wydawców nie zaspokoją żądzy zapoznania się z jednodniówką.

Park Jordana (godz. $5^3/_4$). Wydawcy *Chwili* ocaleni. Uszli cało na błonia, nie rozszarpani w Parku zaciekłemi rękami ścigających. Życie zawdzięczają jednakże nie tyle może chłodnej kąpieli swych prześladowców, ile

wzlotowi aeroplanu

najmłodszego awiatora polskiego. Aparat ten pomysłowością o całe niebo przewyższający systemy Farmana, Blériota i Wrighta, bez motoru, śruby i benzyny, poruszany jedynie zapomocą s e k r e t u wynalazcy, niby ptak czarodziejski o szerokich, olbrzymich skrzydłach, wzniósł się w górę wprost z alei Parku, i wykonując ustawicznie z swobodą i lekkością wręcz niewiarogodne ewolucye, o jakich zachodnio-europejscy zdobywcy powietrza nie mają pojęcia, wzbijał się z szybkością jaskółki coraz wyżej.

Struchlałym z przerażenia i skamieniałym z po dziwu uczestnikom festynu, patrzącym ciągle w górę, ciągle wyżej i jeszcze wyżej, raz wraz spadały poza siebie kapelusze; nikt jednak tego nie spostrzegł, nikt ich nie podnosił, nikt nie zamieniał na lepsze. Gdzieniegdzie ciszę podziwu i grozy przerywało nagłe kichnięcie (na niektóre bowiem nosy blask słoneczny działa jak tabaka). W tem aeroplan, który dla oczu patrzących z Ziemi, wydawał się tak mały, jak chrabąszcz, naraz przeobraził się w muchę, potem w główkę od szpilki — wreszcie zniknął zupełnie. Nad stu tysiącami widzów zaległa wśród śmiertelnej ciszy groza przerażenia. Serca bić przestały, nosy kichać, piersi oddechać. Upływała jedna chwila, druga, trzecia: może trwało to godzinę, minutę, może sto lat. Naraz, niby potężne westchnienie zbałwanionego morza — wyrwał się z piersi stutysięcznej rzeszy okrzyk: Aaaaaa!!

Z pośród białych obłoków oderwał się aeroplan i jął pędzić w dół z szybkością 10 milionów mil

na minutę; niebawem zniżył się do wysokości 80 metrów, zawisł na chwilę w powietrzu, poczem wielce podejrzanemi serpentynami, jakby zataczając się w przestworzu, spływał zwolna w dół. Ze zdumieniem patrzono na zupełnie zbakierowane jego skrzydła, oplecione teraz obficie zwojami jakby najlżejszego tiulu w kolorach: różowym i seledynowym. Tuż nad Parkiem zauważono ,że i nieustraszony pilot ma czapeczkę zsuniętą na lewe ucho, głowę bezwładnie opuszczoną w dół, niepewną ręką dzierży ster, a cała jego postać tonie również w pasmach różowej i seledynowej gazy, niby ubarwionej przędzy „babiego lata". Wreszcie wylądował w samym środku „ślimaka". Publiczność z okrzykiem nieopisanego entuzyazmu rzuciła się ku niemu, on wszakże zupełnie na to nie reagował.. Siedział nieprzytomny, z białemi oczyma, naprzód podany; silna czkawka wstrząsała jego piersią. Raz tylko z trudnością zdołał wybełkotać:

— Czarnej kawy! — poczem osunął się na ręce najbliższych. Lekarze zajęli się trzeźwieniem pilota i momentalnie stwierdzili, że bucha od niego „pestkówka" (śliwowica).

W jednej chwili zrozumiano, czego dokazał krakowski awiator. Zapach śliwowicy oraz dwukolorowe strzępy jakby z jakiegoś najsubtelniejszego trenu czyli ogona, dowodziły niezbicie, że wzniósł się on poza atmosferę Ziemi i przeleciał przez **oba ogony komety**!!! A więc nie 18. maja lecz **dzisiaj** kometa Halleya jest najbliżej Ziemi. Bankructwo astronomii jako nauki ścisłej zupełne!! Astronomia poprostu istnieć przestała!! Jak mnie informują, od jutra przez 6 tygodni z krakowskiego obserwatoryum będzie powiewać czarna chorągiew...

Park Jordana (godz. 7½). Publiczność ochłonęła już po emocyach wzlotu. Awiator śpi pokrzepiającym snem w hali przyborów gimnastycznych. Strzępy z ogonów komety starannie zebrano i schowano do pudelek celem fachowych badań. Zabawa wraca na normalne tory. Mleczarnia przepełniona. Sześć orkiestr gra dalej melodye narodowe. Mandoliniści reprodukują od początku do końca *Figle wiosenne*. Płata je także rozszerzony na cały Park... „telegraf bez drutu", oraz wygodny, bezpośredni telefon, bez rozpaczliwych dzwonień do centrali, i wołań: Dlaczego pani nie łączy?!

Park Jordana (godz. 8). Lampiony, pochodnie, marsze młodzieży po parku. Ochocze śpiewy, improwizowane tańce na murawach i alejach. Wreszcie powolny powrót do miasta. Niezmiernie zadowoleni uczestnicy festynu, co drugi z zeszytem *Chwili* pod pachą, mieszają się z licznemi parami, wracającemi z Panieńskich skał i Woli. Rozmarzenie, omdlenie w oczach, d'oń w d'oni, łaska z parasolką. Księżyc nad Błoniami; na Błoniach Hala rybna. Nastrój. Bicie serc. Kochasz? — Oh, tak! — zawsze będziesz kochać? Oh, tak!! — Zostaniesz moją żoną? Mam teraz już dobrą posadę. — Oh, tak!!! — Anielska! jedyna! Zdaje mi się, że śnię, żem w raju! A tobie też się tak zdaje? — Ooch taaak!!!

Park Jordana (godz. 9). Dobranoc!

Edmund Zechenter.





Piłki nożne i Balony gumowe

poleca

Stefan Porębski, Kraków, **RYNEK 32** B-C.

MARYA PRAUSS

Kraków — Rynek główny L. 7

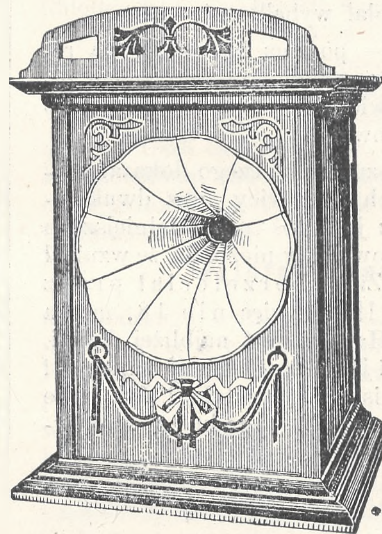
poleca:

Bieliznę damską codzienną,
Bieliznę stołową,
Bieliznę dla panienek,
Bieliznę hygieniczną „Tetra“
dla turystyki, uznaną przez
PP. Lekarzy za znakomitą,
Bieliznę trykotową dla chorych.

Przyjmuje zamówienia na całe wyprawy w bieliźnie i toaletach damskich.

Ceny najniższe.

PATHÉFON



jedynie czyni zadość --najwybredniejszym-- wymaganiom — wnosi zdrową wesołość do domu, gra bez igieł, zawsze równie czysto i głośno i nie niszczy płyt. Gra jak rzeczywista orkiestra, śpiewa i mówi jak żywy człowiek.

Salonowe aparaty szafkowe.

Nowość! **Płyty 50 cm.** Nowość!
grają z potrójną siłą.

BRACIA PATHÉ

w Paryżu — tow. akc.
z kapitał. 5,000.000 fr.

Zastępstwo:

S. GRUDZIŃSKI i T. BERGER

Kraków, Szewska 10, telefon 305.

Naprawy we własnej pracowni. Cenniki darmo i opłatnie.
Co miesiąc nowe zdjęcia.
W lokalu przegrywa się bez przymusu do kupna.

Fabryczny skład bielizny

damskiej i męskiej oraz NOWOŚCI dla pań i panów, BLUZKI, HALKI

poleca

Franciszek Martin

Kraków
Rynek główny L. 6
(Szara kamienica).



V
B
D
G